POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień **Dnia 13-go czerwca 1942r.** **Rok IV. Nr. 24**

Święto Gwiaździstego Sztandaru

Żołnierze Rzeczpospolitej,

W dniu 14 czerwca wielki Naród Amerykański obchodzi uroczyście Święto Swojego Sztandaru. Gwiaździsty Sztandar Stanów Zjednoczonych A.P. jest dumnym znakiem zwycięstwa. Jest on w obecnej chwili dziejowej symbolem walki nieugiętej, jaką prowadzi 27 narodów o niepodległość własną i wyzwolenie człowieka. Stał się on wyrazem wolności, którą Prezydent Roosevelt określił tak pięknie, mówiąc o wolności myśli i słowa, wolności wyznania i wiary, wolności od niedostatku oraz wolności od strachu i teroru.

Naród polski pierwszy wystąpił zbrojnie w obronie tych wzniosłych ideałów ogólnoludzkich. Trwa on dotąd niezachwianie na eksponowanym posterunku. Lecz obecnie wraz z nim walczy trzy czwarte całego świata. To też od chwili, w której Prezydent Roosevelt rzucił na szalę wydarzeń wojennych olbrzymie zasoby materialne i moralne Stanów Zjednoczonych, jesteśmy daleko bardziej, niż kiedykolwiek pewni zupełnego zwycięstwa. Zbliża się ono ku nam krokiem daleko szybszym, aniżeli sądzą przeciwnicy, którzy przestrzegają nagle i nieoczekiwanie ludy własne przed wojną długotrwałą i przewlekłą.

W dniu dzisiejszym flaga polska powiewa godnie i chlubnie w Stanach Zj. obok Sztandaru Gwiaździstego jako znak Polski niezniszczalnej i nieśmiertelnej, walczącej w gronie narodów sprzymierzonych.

Niechaj więc w imię trwałej przyjaźni, jaka nas łączy ze Stanami Zjednoczonymi A.P., jako wyraz niezłomnej woli prowadzenia walki aż do całkowitego zdruzgotania wspólnego nam wszystkim wroga—Ich sztandar zawiśnie na masztach polskich.

Polskie Siły Zbrojne sprezentują przed nim broń, a trębacze odegrają w chwili jego podnoszenia hasło wojska polskiego.

Serca zaś nasze niechaj zabiją w tym uroczystym momencie zgodnym rytmem z sercami szlachetnego Narodu Amerykańskiego. Piękna natomiast tradycja walki wspólnej o wolność, jedyną i niepodzielną niechaj oświeci łuną drogę krzyżową Narodu Polskiego, jako niechybna zapowiedź Jego wyzwolenia i lepszej, bo sprawiedliwszej przyszłości.

Rozkaz niniejszy odczytać w dniu 14 czerwca 1942 r. przed frontem wszystkich oddziałów wojska, dywizjonów lotniczych i na pokładach okrętów R.P.

NACZELNY WÓDZ I MINISTER SPRAW WOJSKOWYCH

—S i k o r s k i, Generał Broni



Franklin Roosevelt składa przysięgę po trzecim wyborze na Prezydenta St. Zj.

Dzień, w którym Amerykanie wspominają swoją przeszłość, czczą Wielkich Budowniczych swojej wolności jest dniem potrochu polskim. Wśród tych, którzy wywalczali wielkość Stanów Zjednoczonych są ludzie naszej krwi, przynależni jednako do historii polskiej i amerykańskiej. Wśród narodu skupionego dziś wokół gwiaździstego sztandaru są miliony obywateli polskiego pochodzenia, dla których słowo ojczyzna oznacza i Amerykę i Polskę.

Ale 14-y czerwca jest jeszcze z innego względu dniem polskim. Jest to pierwsze święto Stanów w wojnie, w tej wojnie, która zaczęła się od polskiej decyzji oporu, od polskiej ofiary, od polskiej—do dziś trwającej—walki. Jest to pierwsze święto w s p ó l n e dwu narodów walczących o jedno.

Ludzie, którzy przybyli w rozmaitych okresach z Kraju, zgodnie stwierdzają, że zbiorowość polska pod okupacją—zapamiętała, nieludzko napięta w wysiłku walki—żywi mistyczną wiarę w Stany Zjednoczone. Ta wiara prowadziła ją przez wszystkie klęski, przez wszystkie zawody, przez wszystkie wątpliwości i pokuszenia. Ta wiara zaczęła się już odmieniać w rzeczywistość faktów.

Ciągle mamy dowody, że po drugiej stronie oceanu polska decyzja oporu, polska walka i polska ufność są rozumiane tak, jak tego pragniemy i oczekujemy. Raz po raz dochodzą nas tutaj słowa—słyszane wszędzie: w uciemiężonym kraju, w obozach jenieckich, i w obozach internowanych—świadczące o wysokiej trzeźwości i nieprzekupnej prawości narodu amerykańskiego, jego dzisiejszych przewódców, urobionych na miarę wodzów z pierwszych dni niepodległego istnienia Republiki Amerykańskiej. Słowa Roosevelta o "Polsce—natchnieniu narodów" porzez ciąg innych oświadczeń zamyka niedawne przemówienie ministra rolnictwa Stanów Claude Vickarda, zapewniające o konkretnej pomocy, jakiej wygłodzona, wyniszczona, odarta ze wszystkiego Polska może oczekiwać.

"Polska będzie na pierwszym miejscu wśród narodów, jakie otrzymają pomoc. Ameryka dopomoże wam wszystkimi siłami."

Wiemy wszyscy, że nie jest to tylko sprawa gołosłownych zapewnień. Wiemy ile już rzeczywistej pomocy Stany Zjednoczone udzielają Polakom, gdziekolwiek są. Pamiętamy, że Szef Rządu Polskiego był już dwukrotnie za oceanem i dwukrotnie spotkał się z przyjęciem, które świadczy o pokrewieństwie instynktów, o głębokim porozumieniu, o jednokierunkowości dążeń dwu narodów.

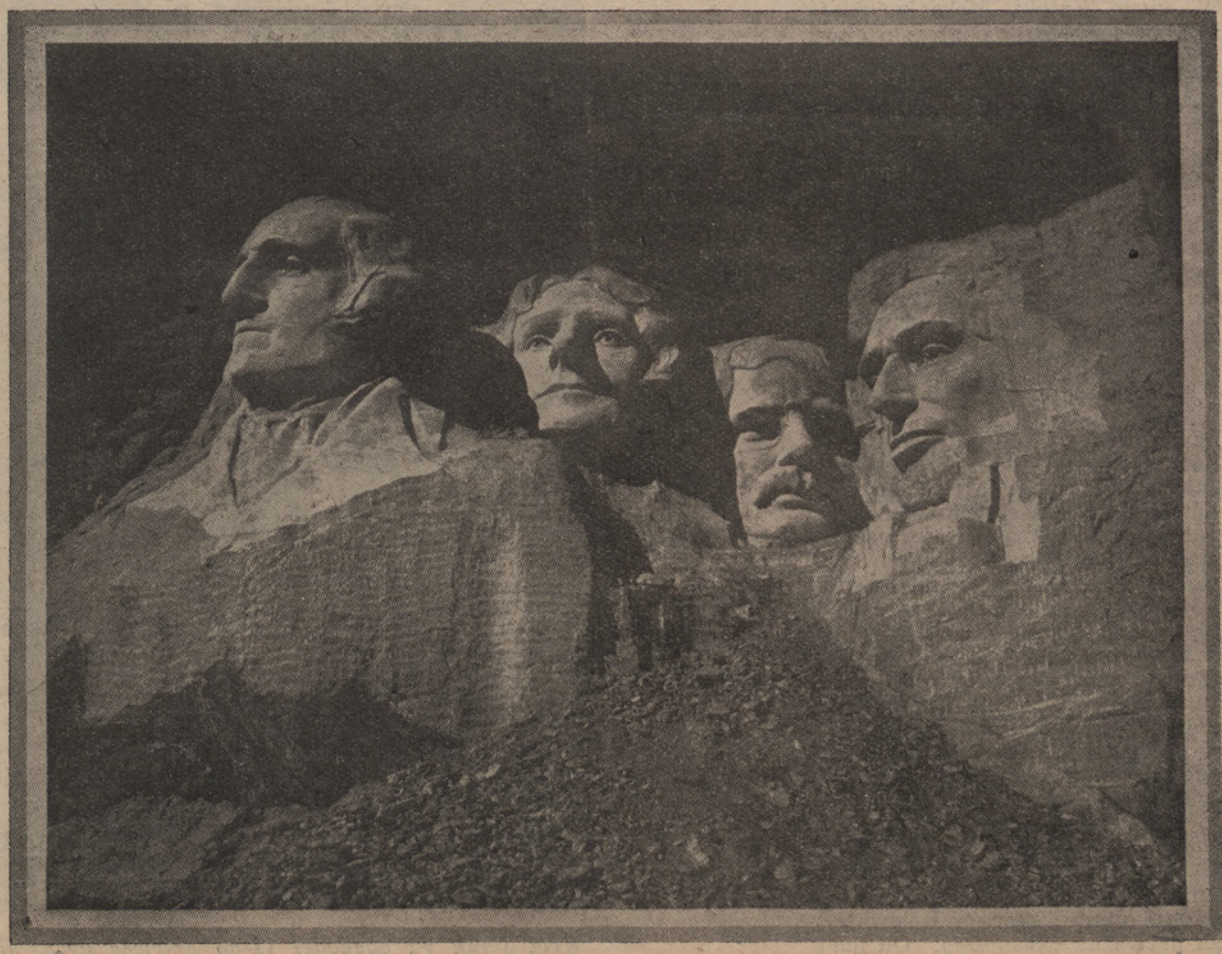
Dla tego wszystkiego święto Ameryki jest także świętem Polski. Splata się w nim przeszłość i teraźniejszość dzielona we wspólnocie i porozumieniu. Ale otwiera się z tego święta także perspektywa na przyszłość. Dla tych, którzy umieją ocenić ciężar, jaki Ameryka już rzuciła na szalę historii, dla tych, którzy zdają sobie sprawę z umysłowości Roosevelta, człowieka walki, ale w równej mierze reformatora społecznego—nie ulega wątpliwości, że Stany Zjednoczone, że ludzie, jakich one wydają muszą odegrać jedną z najbardziej doniosłych ról w ukształtowaniu przyszłości świata.

My żołnierze Polski Walczącej pozdrawiamy Stany Zjednoczone w walce o sprawę, która była nam wspólna wczoraj, jest znowu wspólna dzisiaj, i będzie wspólna w dniu jutrzejszym.

ALEKSANDER JANOWSKI



Pomnik czterech znakomitych obywateli Stanów Zjednoczonych, wykuty w granicie Gór Rushmore na Czarnych Wzgórzach w South Dakota. Są to, od lewej do prawej: George Washington /1732-1799/ generał, wódz walczącego o niepodległość narodu amerykańskiego, pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych /1789-1797/. Thomas Jefferson /1743-1826/ trzeci prezydent Stanów Zjednoczonych /1801-1809/, autor Deklaracji Niepodległości /Declaration of Independence/ z roku 1776. Theodore Roosevelt /1858-1919/ dwudziesty szósty prezydent Stanów Zjednoczonych /1901-1909/ zyskał sobie wielką zasługę w przygotowaniu Stanów Zjednoczonych do poprzedniej wojny światowej. Abraham Lincoln /1809-1865/ szesnasty prezydent Stanów Zjednoczonych /1861-1865/, odegrał zasadniczą rolę w czasie wojny domowej i uratował jedność Stanów Zjednoczonych, walczył skutecznie o zniesienie niewolnictwa w Stanach Zjednoczonych.



Stany Zjednoczone—Anglia—Francja

Kelnerzy i maîtres d'hotel lepszych restauracji i nocnych klubów w Nowym Yorku są z reguły Francuzami. Poza tym w mieście jest trochę francuskich intelektualistów, utalentowany lekarz dr. Alexandre Carrell, gwiazda fundacji Rockefellerowskiej, pewna ilość francuskich aktorów i aktorek, niewielki kontyngent pań o niedwuznacznym zawodzie, trochę specjalistek od perfum, mód i masażu twarzy, jeszcze mniej nauczycielek i nauczycieli języka, sławna firma jubilerska Cartier. Z grubsza rzecz biorąc tak przedstawia się francuski kontyngent międzynarodowej metropolii. Poza New Yorkiem, na szerokich rozłogach Stanów, Francuzów prawie nie ma. W Hollywood trochę gwiazd, gwiazdek i akolitów wywodzi się z Francji i na tym koniec. A jednak—pierwszymi pionierami kontynentu Północnej Ameryki byli Francuzi. W otchłaniach środkowej części Stanów, w izolacjonistycznym Midwest raz po raz spotyka się nazwy Detroit, St. Louis, Des Moines i t.d. Dwieście lat temu podróżowali tędy "*voyageurs*" kanadyjscy utrzymujący pośród bezdroży jezior i rzek, lasów zaludnionych przez Indian łączność pomiędzy francuskimi osiedlami na północy, w okolicach Motrealu i Quebecu a francuską kolonią Luizjany i portem Nowego Orleanu.

Po wojnie 7-mioletniej Ludwik XV-ty zrzekł się Kanady twierdząc iż jest to tylko troszkę śniegu a Napoleon sprzedał za parę milionów dolarów południową dependencję. W Kanadzie pozostało społeczeństwo francuskie, zamknięte w sobie, nieufne i pogardliwie się odnoszące do Anglików przez długie dziesiątki lat. Nie przyjęło ono udziału w dziele podboju nowego kontynentu. Bretońscy i normandcy chłopi przejechali wprawdzie przez morze na rozkaz komisarzy królewskich, ale na nowych, dziewiczych gruntach zachowali dawną niechęć do podróży, nieufność wobec cudzoziemców, obojętność wobec widoków szybkiego bogacenia się. Co najwyżej zostawali traperami niekończących się lasów.

Do Luizjany wywożono z Francji XVIII wieku prostytutki, zbankrutowanych młodszych synów szlachetnych rodów i zbieraninę wszelkiego rodzaju. Historia o Manon Lescaut i szlachetnym kawalerze do Grieu zachowała dokładny obraz ówczesnej Luizjany i jej przymusowej ludności.

Wersal traktował tę kolonię z taką samą obojętnością jak inne. Na pewien czas dostała się ona pod panowanie hiszpańskie, potem znów wróciła do Francji i wreszcie pokryła chwilowy deficyt Napoleona na bardzo krótko zresztą. Tropikalny klimat, charakter ludności Nowego Orleanu, Baton Rouge i innych tamtejszych osiedli nie sprzyjały tworzeniu się potężnego państwa. W upale Zatoki Meksykańskiej żyło się leniwie i poświęcało czas kobietom i winu. Ziemiańska, arystokratyczna cywilizacja południowych Stanów wchłonęła francuski element bez reszty. Podczas wojny domowej południowych stanów z północnymi i pogromu Południa w pułkach luizjańskich była jeszcze pewna ilość oficerów i żołnierzy mówiących wyłącznie po francusku. Dzisiaj rodzin francuskich a nawet wywodzących się od francuskich osiedleńców, prawie nie ma w Luzjanie. Utonęły bez reszty w kotłowisku przepływających fal ludności.

Na terenie Stanów jeden tylko klan francuski nie tylko że nie znikł w morzu angielsko-irlandzko-niemiecko-włosko-słowiańskim, ale zachował z dumą swoje cechy narodowe i francuską pisownię imion. Są to Dupont de Nemours. Założyciel rodu był jednym z posłów do Stanów Generalnych w 1789-tym roku. Kiedy jednak reformy zmieniły się w rewolucję Dupont poseł z Nemours zebrał całą gotówkę, jaką miał i przeniósł się do Stanów. Dziś potomkowie jego, liczna i zwarta rodzina są chyba najbogatsi w Ameryce. Do nich należą koncerny sztucznego jedwabiu, samochodów (General Motors) i stali (Bethlehem Steel Co.) Oni wszechwładnie rządzą stanem Delaware jak prywatną własnością. Od ich głosu wreszcie, jako wiernych popleczników partii republikańskiej zależy w znacznej mierze ogólno-państwowa polityka Stanów.

* * *

U kolebki Stanów Zjednczonych stało królestwo Francji. Czasowa przewaga na morzu marynarki Ludwika XVI-ego nad Anglikami pozwoliła na zasilanie słabych i skłóconych ze sobą 13 stanów posiłkami wojennymi, generałami żądnymi sławy i sprzętem wszelkiego rodzaju. "Filozofowie" francuscy zachwycali się cnotliwym republikanizmem zaatlantyckich kolonii walczących o wolność, Konstytucją Stanów Zjednoczonych wywodzącą się z tego samego źródła, co Deklaracja Praw Obywatela i Człowieka, którą ogłosiła Wielka Rewolucja Francuska.

Amerykanie zachowali we wdzięcznej pamięci pomoc i ratunek. Lafayette, Biron, Chambrun, Rochambeau i inni oficerowie francuscy otrzymali olbrzymie nadania ziemi i honorowe obywatelstwo dla siebie i swoich potomków nawet. Narodził się za Atlantykiem mit Francji obrończyni słabych i uciśnionych.

Przez następnych sto lat stosunki pomiędzy Stanami i Francją były doskonałe, jeżeli nie liczyć paru lat tarć i nieporozumień za Napoleona III-go w związku z osadzeniem Maksymiliana Habsburga na tronie meksykańskim. W miarę jak kulturalne sfery amerykańskie poczęły krystalizować się, Paryż stał się Mekką artystów, ludzi bogatych i snobów, czymś w rodzaju ostatecznego stempla cywilizacji.

Podczas wojny światowej wielkie ilości żołnierzy z Kalifornii, Ohio i Texasu poznały inną Francję jeszcze. Francję drobnych kafejek przy obozach wojennych, tanich i sprzedajnych sukcesów miłosnych, starannie ukrywanej pogardy dla barbarzyńców. Mimo to Mekka Paryża zachowała się dla przeciętnego mieszkańca Stanów. Nawet rozszerzyła zakres. Odtąd ci wszyscy, którzy chociaż raz w życiu chcieli "poszumieć" pielgrzymowali tak samo do Paryża.

Stosunki między obu narodami były doskonałe i wskutek tego przestano siebie rozumieć. Tak dalece Francja zatraciła poczucie tego czym są Stany, iż po klęsce czerwcowej w ubiegłym roku próbowała wygrywać Stany, a przynajmniej pewne odłamy opinii amerykańskiej, bogate milionerki, pół życia mieszkające na Riwierze, liberalnych profesorów, Kwakrów o czułym sercu i izolacjonistów przeciw Wielkiej Brytanii.

* * *

Na przestrzeni kilkuset lat stosunków anglo-amerykańskich przed i po uzyskaniu niepodległości przez Stany bardzo mało było sielanek. Bliskie pokrewieństwo, wspólny język, dziwnym zrządzeniem losu inaczej wymawiany bo obu stronach Atlantyku były powodem do irytacji i wzajemnych drwin. Cały wreszcie bagaż rodzinnych kłótni, żalów i sporów i wywlekanie ich na rynek publiczny nie mogły w żadnym wypadku być obrazem miłości braterskiej.

Chociażby taka sprawa jak bohaterowie narodowi. Jerzy Waszyngton z angielskiego punktu widzenia był po prostu gentlemanem i oficerem, który dopuścił się najgorszej zbrodni—sprzeniewierzył się przysiędze i królowi. Bohater marynarki amerykańskiej Paul Jones, pozatem zresztą admirał Katarzyny II-giej, dla Anglików był piratem. Z drugiej strony ta część ludności, która w 1776-tym pozostała wierna koronie brytyjskiej była uważana przez resztę pobratymców za zdrajców i zakałę rodzaju ludzkiego.

Kłótnie domowe doprowadzały często do tragedii. Tak n.p. najlepszy generał wojsk rewolucyjnych Benedict Arnold, zbawca Stanów w bitwie pod Saratogą, w pewnej chwili przechodzi na stronę angielską i jest jednym z najbardziej bezwzględnych tępicieli wojsk t.zw. kontynentalnego kongresu. Pobudki zdrady były ściśle ideowe. Arnold uważał, iż wpływ francuski na nową republikę jest zbyt silny i katastrofalny w skutkach. Wobec tego, iż samo istnienie i niepodległość nowej republiki nie ulega kwestii po paru latach wojny nawet w Londynie, Arnold zdecydował, iż znacznie lepiej będzie dla niej przez okres młodzieńczy pozostać pod kuratelą Anglii, aniżeli Francji. Dla urzeczywistnienia tego planu zdecydował się na tragedię osobistą.

Nie przewidział on rewolucji francuskiej. Długo jeszcze po kapitulacji ostatnich oddziałów angielskich Lorda Cornwallisa tliły się między obu kuzynami płomyki niechęci. Podczas wojny secesyjnej prasa angielska z czcigodnym "Punchem" na czele atakowała Lincolna w sposób w najwyższym stopniu dotkliwy. Amerykanie też nie pozostali w tyle. Angielski lord, przeciągły akcent i "snobizm" były i są ulubionym przedmiotem dowcipów najniższego rodzaju t. zw. burlesek. Zdarzyło się parę razy nawet iż o członkach brytyjskiej rodziny panującej różne osobistości amerykańskie jak burmistrz Chicago Bill Thompson, wyrażali się niezupełnie właściwie. Sprawa irlandzka dolewała stale oliwy do ognia.

Kiedy jednak Edwad VII i syn jego Jerzy V zapadali ciężko na zdrowiu prasa amerykańska prawie automatycznie umieszczała na pierwszych stronicach tytuły "król poważnie zachorował", przyczem nie objaśniano, o jakiego to właściwie króla chodzi. Wszyscy rozumieli. Nawzajem przed Opactwem Westminsterskim w Londynie stoi posąg Lincolna, słusznie uznanego przez Anglików za jednego z najwspanialszych przedstawicieli geniuszu anglosaskiego.

Podobne przykłady można cytować w nieskończoność. Żyjemy zresztą w epoce największego, namacalnego przykładu tego rodzaju, po uchwaleniu przez parlament amerykański ustawy o pomocy dla Wielkiej Brytanii, po powtórnym wejściu Stanów do wojny, której przez dwa lata W. Brytania przewodziła sama, po wspólnych deklaracjach amerykańsko-brytyjskich, jak "Karta Atlantycka."

* * *

Napływ szybko się amerykanizujących mas nie anglosaskich emigrantów do Stanów Zjednoczonych nie wpłynął na układ stosunków anglo-amerykańskich. Pozostały one stosunkami rodzinnymi.

Tak jak w łonie najbardziej kochającej się rodziny bracia będą sobie wymyślać, ale ratować się wzajemnie na głębokiej wodzie, tak w chwili obecnej można spotkać utyskiwania amerykańskie na Anglików i angielskie na Jankesów. Potwierdzają one raczej stuletnią prawdę, iż od marynarki brytyjskiej zależy bezpieczeństwo Stanów aniżeli jej przeczą.

Reakcja prasy i społeczeństwa amerykańskiego na usiłowania francuskie jest w tym względzie bardzo charakterystyczna. Nawet protektorzy francuskich sztuk i nauk Rockeffelerowie, Anna Morgan siostra największego bankiera pozostawili bez odpowiedzi podszepty ambasadora Vichy w Waszyngtonie Henri-Haye o perfidnym Albionie. Przyjęto je tak jak się przyjmuje usiłowania dobrego znajomego z knajpy pragnącego wykorzystać drobne sprzeczki rodzinne chłodno i obojętnie. Stany Zjednoczone i Wielka Brytania walczą dziś razem, zbliżają się przez ocean, zrastają tysiącznymi węzłami. Zdążają do zerwanej kiedyś wspólnoty wzbogaconego i powiększonego domu, wracają do jednej, starej i nowej ojczyzny. Może z niej wyjść nauka nowego życia dla wielu ludów świata.

CZESŁAW JEŚMAN



Król Jerzy VI obchodzi 11-go czerwca urodziny. Towarzyszą Mu w tym dniu najlepsze uczucia wszystkich walczących Polaków

Za drutami obozów /I/

Oflagi i Stalagi

Schemat organizacji obozów jenieckich przedstawia się następująco:

Na terenie każdego okręgu wojskowego znajduje się przeważnie jeden "Oflag," t.zn. obóz oficerski, oraz kilka "Stalagów"—A, B, C, —czyli obozów żołnierskich. Obozy żołnierskie odgrywają jednak rolę tylko przejściowych etapów na drodze do "Arbeitskommando," to jest do tych komórek, gdzie jeńcy muszą pracować.

W Stalagu przebywają chorzy, następnie ci, którzy pracują po biurach t.zn. na poczcie, w ewidencji, czyli "Kartei," w administracji obozu "Lagerkanzlei," dalej ci, których przesłano do ukarania do karnych kompanii lub też do zwolnienia, na koniec starsi podoficerowie, którym teoretycznie przysługuje prawo odmówienia pracy fizycznej. Teoretycznie, podkreślam — podoficerowie i aspiranci nie są obowiązani pracować. Jednakże w miarę zaostrzania się sytuacji na rynku pracy, większość podoficerów i aspirantów zarówno polskich jak i francuskich, belgijskich i jugosłowiańskich zmuszono do wyjazdu na "Arbeitskommando."

Wszyscy muszą pracować. Odmowa pracy podciągana jest pod sabotaż i ostro karana. Oskarżeniem: "sabotaż" szafuje się w Niemczech bardzo szczodrze. Sabotażem jest n.p. okaleczenie krowy. Tego rodzaju wypadek ściągnął na mego znajomego, jeńca belgijskiego, nawiasem mówiąc, adwokata z zawodu, który nigdy nie pracował na roli, karę trzech lat więzienia. Sabotażem jest odmowa pracy w przemyśle wojennym, co jak wiadomo, przysługuje każdemu jeńcowi w myśl umów międzynarodowych. Pod sabotaż podciągane są najmniejsze uchybienia.

Przed oczyma będzie mi zawsze stał obraz aspiranta francuskiego M., maltretowanego codziennie przez dowódcę karnej kompanii, do której się dostał za odmowę pracy w fabryce samolotów. Każdego ranka, na zbiórce, opasły feldwebel okładał go pięścią po twarzy. W czasie śniadania, gdy inni koledzy, zmęczeni nieludzkimi ćwiczeniami, jedli codzienną jeniecką zupę, aspirant M. musiał stać wyprostowany jak trzcina, twarzą przywartą do wbitego w ziemię pala przekraczającego nieco jego wzrost, na którym feldwebel dla naigrywania się, ustawił menażkę z zupą. Aspirant M., według instrukcyj feldwebla, mógł wąchać zupę, lecz niewolno mu było jej jeść.

—"Już ty więcej nie zobaczysz swej ojczyzny"—wygrażał mu feldwebel.

Klientów karnej kompanii dostarczały głównie "Arbeitskommandy," to znaczy—komórki, gdzie miała miejsce eksploatacja sił ludzkich.

W każdej wsi niemieckiej, w jakiejś opuszczonej szkole czy szopie, mieści się "Arbeitskommando"—grupa kilkudziesięciu jeńców, pod dowództwem podoficera niemieckiego, pod nadzorem dwuch do trzech żołnierzy, zatrudniona na terenie danej wsi. W niektórych miasteczkach są czasem po dwie lub trzy takie komórki. Na wsi zazwyczaj jedna. O ile obozy, zarówno "Oflagi" jak i "Stalagi," mają charakter międzynarodowy, to "Arbeitskommand'y" zostały unarodowione, t.zn.—są "Arbeitskommandy" polskie, francuskie, jugosłowiańskie czy belgijskie. Miało to o tyle wygodną dla organizatorów stronę, że zwykle przy takiej "Arbeitskommando" mógł być tylko jeden tłumacz.

W myśl przepisów o pracy jeńców, nawiasem mówiąc bardzo szczegółowo i dokładnie opracowanych i wydanych nawet w osobnej książeczce, jeńcy, pracujący czy to na roli czy w fabryce, muszą obowiązkowo jeść i spać na "Arbeitskommando." Jedynie latem, w czasie intensywnych prac w polu, jeńcy mogli jeść razem z gospodarzem, u którego byli zatrudniani.

"Arbeitskommandy" były dobre i złe. Dla inteligenta wyjazd na "Arbeitskommando" rolnicze, gdzie kazano jeńcom pracować 11 godzin w bardzo złych warunkach higienicznych, był po prostu tragedią. Inteligenci starali się raczej o przydział do pracy w fabrykach, gdyż tam przynajmniej praca była bardziej określona, t.zn. wiadomo było, że trzeba pracować 10 godzin dziennie a potem będzie się miało względny spokój. Były "Arbeitskommandy," które prawie niczym nie różniły się od katorgi, jak n.p. kamieniołomy, praca przy budowie kanałów, czy też osuszaniu bagien. Tam wysyłano opornych, "twarde głowy," lub pewne kategorie żołnierzy, specjalnie przez Niemców prześladowane, jak n.p. żołnierzy z francuskiej Legii Cudzoziemskiej.

Wśród jeńców wytworzył się sport wykręcania się od pracy i od wyjazdów na "Arbeitskommando." Kto mógł starał się pozostać w obozie, zaczepić w jakimś biurze, co jeszcze dawało możliwości względnego spokoju, lub też dostać się do jakiejś pracy, względnie samodzielnej, jak n.p. u fotografa, czy w miejscowym kinie i t.p. Poza tym orientowano się po prostu po twarzy "patrona," który przyjeżdżał do obozu po pracowników.

Obozy jenieckie przypominają bardzo targi niewolników. Przydział do pracy odbywa się bowiem dwutorowo. Z jednej strony dowództwo obozu przydzielało do każdej "Arbeitskommando" pewną ilość jeńców, przewidzianych dla tej okolicy, z drugiej strony poszczególni włościanie czy też przemysłowcy, którzy już nie mogli dostać robotników w swej "Arbeitskommando" ze względu na wyczerpanie kwantum, przyjeżdżali po jeńców wprost do obozu. Przez kancelarię obozu, "Lagerkanzlei," przewijało się też dziennie kilkudziesięciu petentów.

Cała opisana organizacja wymaga olbrzymiego aparatu nadzorców, dozorców, wartowników i t.p. Niemcy wpadli więc na nowy sposób. Na jesieni 40 roku poczęli proponować żołnierzom polskim zwolnienie z obozu pod warunkiem podpisania zobowiązania, iż będą pracować w Niemczech. Nazywało się to w gwarze obozowej—"przejściem do cywila." Zobowiązanie nie podawało ani na jak długo podpisany zobowiązuje się pracować w Niemczech, ani na jakich warunkach. Początkowo odnosiło się to tylko do jeńców polskich.

Żołnierze ustosunkowali się do tego projektu zasadniczo wrogo. Najpierw ze względów zasadniczych. Wychodzili z założenia, że są żołnierzami i chcą nimi pozostać. Jeśli pracują to pod przymusem. Dobrowolnie dla Niemiec nie będą pracować. Następnie kierowali się dobrze zrozumiałym interesem. Los bowiem takich pracowników cywilnych był godzien pożałowania. Żołnierz, który podpisał podobne zobowiązanie wychodził z obozu i zostawał przydzielany do jakiejś wioski, do jakiegoś chłopa, jako zwykły robotnik.

Nie podlegał już jurysdykcji wojskowej. Odbierano mu mundur wojskowy. Jako płacę otrzymywał 21 marek miesięcznie, za które musiał kupić sobie ubranie, bieliznę i wszystko co mu było potrzeba, poza oczywiście jedzeniem, które dostawał od gospodarza. Nie wolno mu było ruszyć się poza obręb wioski. Na ubraniu musiał nosić literę "P." Był trędowatym w środowisku, w którym przebywał. Jeśli nie spodobał się gospodarzowi, gospodarz meldował do policji i automatycznie odsyłali go już nie do obozu jeńców, gdzie przesłuchiwał go oficer sądowy, lecz po prostu do obozu koncentracyjnego, gdzie dostawał się w ręce S.S. lub S.A. W wielu wypadkach chłopi bez istotnej przyczyny, tylko by pozbyć się robotnika, który im się nie podobał z tych czy innych względów, robili donosy do policji.

Nie pomogły więc namawiania. Żołnierze nie chcieli się zgłaszać na pracowników cywilnych.

Na wiosnę 41 roku ten sam system poczęto stosować wobec Francuzów. Naturalnie warunki były lepsze. Żołnierzom francuskim dawano do podpisania papier, że zobowiązują się pracować w Niemczech do końca wojny. Płaca była wyższa. Otrzymywali 30 marek miesięcznie, przy tym nie nosili żadnej litery, żadnej oznaki.

MARIAN PIOTROWSKI

Szkic sytuacyjny

KONIEC "WOJNY BŁYSKAWICZNEJ" W LIBII

Działania wojenne w Libii mają przebieg tak kapryśny, że nie sposób mówić jeszcze o jakimś wyraźnym froncie, czy układzie frontów. Są to typowe dzikie pola wojny błyskawicznej, typowe wcielenie przysłowia o Kozaku i Tatarzynie. Jak się przesilą te sprawy, jakie wyłonią się z tego galimatiasu zarysy—nie wiemy. *Ale wnioski* jakie można już dzisiaj wysnuć z dotychczasowej kampanii, *są wielce pouczające.*

Rommel był doskonale przygotowany. Zasilany był on od dawna, pogotowie jego było napewno bez błędu. Był przekonany, że pierwsze uderzenie zaniesie go przez granicę Egiptu daleko ku Aleksandrii. Jego butny rozkaz dnia wyraźnie na to wskazuje. Rommel jest ambitną sztuką. Celem jego marszu był Suez. Wie on, że bez zamknięcia Suezu nie ma mowy o zakończeniu rozgrywki na Morzu Śródziemnym.

A jednak *uderzenie jego spaliło na panewce.* Anglicy byli przygotowani na uderzenie państw osi. Młodzi generałowie wywiązali się doskonale ze swojego zadania. Zdystansowali wyraźnie starszą stawkę generalską. Jeszcze jeden dowód, że jednak *młody dowódca jest podstawowym warunkiem powodzenia w tej wojnie.* On bowiem nie tylko wojnę tę rozumie, on ją także c z u j e.

Anglicy posiadali wyposażenie techniczne, które mogło stawić czoło Niemcom. Czołgi Skody, które okazały się tak groźne w poprzednim roku trafiły teraz na czołgi amerykańskie typu "*General Grant*" i przekonano się, że maszyny amerykańskie są twarde. Samoloty amerykańskie "*Kittyhawk*" sprawiły się doskonale i użyte zostały do lotów nurkowych. Koncentracja dział była dobra. Marynarka pomagała mniej, niż zazwyczaj w działaniach, ale jakoś jej braku nie odczuwano /jeszcze jeden dowód, że współpraca floty *nie* jest dzisiaj podstawowym warunkiem powodzenia orężnego w działaniach idących pasami nadbrzeżnymi/.

Okazało się zatem, że przygotowanie techniczne rozstrzyga i że z chwilą, kiedy wróg nie posiada przygniatającej nadwyżki technicznej, kończą się przewagi "*Blitzkriegu.*" Tak jak wojna błyskawiczna umarła na wielkich pustkach rosyjskich, pokonana przestrzenią i oporem maszyn, tak skonała na piaskach libijskich, albowiem czołgowi przeciwstawiono czołg, czołgom dano odprawę z dział ppanc, a na harce samolotów bombardujących odpowiedziano chmarą myśliwców.

Ten koniec wojny błyskawicznej jest bardzo znamienny. Największa broń, jaką posiadała Rzesza skończyła się. Rzesza musi już chyba widzieć dzisiaj sama, że *wojny nie wygra się tego rodzaju chwytami i że trzeba będzie pracować w pocie czoła.*

DŁUGA WOJNA—WIDMEM RZESZY

Długa wojna stanowiła zmorę Trzeciej Rzeszy. Wiedziała ona, że jej nie zniesie: nie zniesie bowiem daniny krwi w zapasach zbyt długo trwających, nie zniesie długiej wojny gospodarczo /organizacja terenów zdobytych jest jednak niemożliwa w dobie wojny/, nie zniesie jej nerwowo. Wspomnienia tamtej przeciągłej wojny będą działały coraz to bardziej rozstrajająco na mieszkańców Rzeszy. Nieprzygotowanie do porażek, nastawienie na stałe sukcesy, przekonanie, że jest się niepokonalnym, zaślepienie co do własnej potęgi—wszystko to w chwili niepowodzenia okaże się polityką zgubną, polityką na krótką metę.

Dlatego Rzesza patrzy na przedłużanie się wojny z prawdziwą paniką. Rosji nie można pokonać, działania na obszarze Morza Śródziemnego nie przynoszą spodziewanego wyniku, *wysiłek wojenny Ameryki jest coraz poważniejszy,* Japonia nie zamierza jakoś wypowiedzieć wojny Rosji.

W tym położeniu Hitler dokonuje niebywale ryzykownych posunięć na rynku wewnętrznym, posyłając na zieloną trawkę swoich najbliższych ongiś współpracowników. Generał Thomas, który zdawna już powiadał, że należy się liczyć z długą wojną, obejmuje ster po Goeringu i po Darrem. Zmiany zapowiadają się jeszcze większe, propaganda niemiecka woła do strudzonych obywateli, że jednak muszą dokonać największego wysiłku, ażeby nie dopuścić do przegranej, dr. Ley, słynny pijak a również i przywódca Frontu Pracy zaklina robotników, ażeby pracowali albowiem *nie może się powtórzyć historia z r.* 1918, kiedy zabrakło broni dla niemieckiego żołnierza.

Pisma niemieckie wołają otwarcie o "większą ilość szubieniec" dla rozmaitych defetystów i dla tych, co nie popierają w pełni niemieckiego wojennego wysiłku. Idzie przez Trzecią Rzeszę fala terroru.

TERROR W CZECHOSŁOWACJI

Zamach na Heydricha jest wielkim wydarzeniem, albowiem po raz pierwszy uderzono w człowieka, który naprawdę coś znaczył. Zamachy na radców ambasad, jak zamach Gruenszpana, mijały się z celem, były wyskokami smarkaczowskimi. Tu po raz pierwszy dokonano zamachu planowo i celowo, wykonano go *dobrze.* Zamachowcy zbiegli i wątpić należy, ażeby ich odszukano. Represje, jakimi Rzesza chce wymusić na Czechosłowacji poddanie się o posłuszeństwo nie osiągną wiele. Rząd Hachy nie panuje nad położeniem. Policja niemiecka wie, że nie znajdzie winnych, że są oni osłaniani przez całe społeczeństwo czeskie, które zawsze było społeczeństwem *karnym i sprawnym w konspiracji.*

Dla krajów podbitych wiadomość o zgonie Heydricha jest nielada nowiną. Jest zachętą i zapowiedzią zamachów i mordów, jakie mnożyć się będą wszędzie. Dla hitlerowskich siepaczy ten mord jest ostrzeżeniem szczególnie niemiłej natury. Teraz naprawdę nie są oni pewni swojego życia.

HITLER BŁAGA MANNERHEIMA

Front wschodni nie chce jakoś ruszyć pomimo tego, że Niemcy opowiadają o całkowitym wyniszczeniu wojsk sowieckich koło Charkowa, że twierdzą, iż ustał tam wszelki zorganizowany opór i że klęska sowiecka jest zupełna. *Nikt już nie wierzy w tego rodzaju zapowiedzi* ze słowami takimi jak: unicestwienie, zniszczenie i wybicie do nogi.

Skoro nie udało się południe, trzeba próbować szczęścia na północy. I oto Hitler zjawia się w kwaterze marszałka Mannerheima rzekomo celem nadania wysokiego odznaczenia w 75-te jego urodziny. Nikt jednak nie uwierzy, ażeby to był istotny cel wizyty Hitlera. Za wiele grzeczności nawet dla starszego już mocno, ale jarego szefa fińskich sił zbrojnych. To też Hitler na pewno nie latałby z Keitlem do Finlandii poto tylko, ażeby przypinać do munduru Mannerheima niemieckiego złotego orła.

Powody są oczywiście inne i nie trzeba nadmiernego sprytu, ażeby je odgadnąć. Wiadomo dobrze, że położenie Finlandii jest *bardo złe.* Nieposiada ten kraj żywności, wyniszczony jest on nadmiernie długą wojną /i tu liczono na wojnę błyskawiczną i na szybkie spożywanie owoców zwycięstwa/. Finlandia chciałaby, szczególnie od chwili, kiedy USA są w wojnie, zawrzeć jakiś odrębny pokój. Nacisk warstw pracujących jest olbrzymi, socjaliści, którzy byli poważną siłą w Finlandii, są dalej wpływowi i bynajmniej nie wypadli z gry. W tych warunkach rząd fiński *prowadzi wojnę jakby od niechcenia,* jakby półgębkiem, ale spogląda co raz niespokojniej na przedłużanie się wojny.

Nowa zima wojny byłaby dla Finlandii katastrofą. Nic więc dziwnego, że Hitler w przewidywaniu, iż Finlandia może się wyłamać, pofatygował się sam samolotem do Finlandii, ażeby Mannerheimowi powiedzieć parę słodkich słówek a jeszcze więcej poważnych *gróźb.*

LATO BĘDZIE GORĄCE DLA RZESZY

Dla Niemiec nie będzie to wesołe lato. Bombardowanie RAF'u przybiera na sile. Ostatni tydzień był dla Rzeszy bardzo pechowy. Przyznają się już dzisiaj nawet pisma niemieckie, że "*Kolonia jaką znaliśmy przepadła na zawsze.*" Powiada "*Westdeutscher Beobachter,*" wychodzący w Kolonii, że ubiegła niedziela była "zmorą" dla ludności miasta.

Co raz poważniej uderza RAF, co raz ostrzej przedstawiają się ataki, cyfry samolotów przekraczają tysiączkę. Są to już stawki, które nie są tak łatwe do wytrzymania. Przedstawiciel Wilhelmstrasse powiedział wcale dowcipnie, że marszałek lotnictwa brytyjskiego Harris zapowiadając, iż Anglicy tak długo będą walić w Rzeszę, aż "*Niemcy zaskomlą*" miał chyba na myśli nie tyle przemysł wojenny—bo ten nie może skomleć—*ale ludność cywilną.* Przedstawiciel Wilhelmstrasse ma częściowo rację.

Wątpić należy, ażeby Anglicy przekonawszy się, jakie reakcje wzbudziły ich naloty w Rzeszy chcieli zaprzestać bombardowania. Niemcy pocieszają się, że Anglicy przestaną, albowiem zobaczą, że się im to nie opłaca. Nie wiemy, czy te kalkukacje okażą się słuszne; napewno raczej—nie.

Anglicy zbierali swoje aparaty miesiącami i są jak kapitalista, który powiada, że jednak *bombardowanie jest dobrą inwestycją.* Niemcy w dobie bitwy o W. Brytanię byli jak szuler, który postawił wszystko na jedną kartę. Rzesza nie może sobie dzisiaj pozwolić na tracenie maszyn, ale Anglicy—tak. Opłaca się.

Londyn, 7 czerwca 1942.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 11.V.—31.V.1942

Lotnictwo myśliwskie	Lotnictwo bombowe	
Dywizjony myśliwskie brały udział w osłonie wypraw bombowych i zadaniach "wymiatania," oraz atakowały cele ziemne.	Ilość wypraw: 5	Łączną ilość samolotów: 86
	Główne cele: St. Nazaire, Kolonia, Mannheim.	
Razem od czasu przybycia do Anglii do 31.V.1942.		
Zestrzelono samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 455	Łączna ilość samolotów: 2629	

ARTYLERJA PRZECIWLOTNICZA 1939 r.



Ułożył Jan Poliński

Z kampanii wrześniowej

I Batalion Morski Strzelców

I.

Brygada Podhalańska biła się dzielnie i zwycięsko o Narwik, I Dywizja we Francji, ponosząc duże straty i walcząc w warunkach tragicznych do końca, dowiodła czym jest honor dla polskiego żołnierza. Lotnictwo polskie każdego dnia chlubnie zapisuje swoje karty. Marynarka wojenna ugruntowała swoje zaszczytne stanowisko w historii tej wojny na mur. Wszystkie te bronie czy jednostki mają swoją historię dokładnie zapisaną, mają swoich literatów, popularyzujących czyny bohaterskie, żołnierze, lotnicy i załogi poszczególnych O.R.P. krwawo zasłużone odznaczenia i awanse. Tymi bohaterami słusznie się szczycimy, z radością czytamy każdy opis ich czynów, przeszłych i teraźniejszych.

Ja jednak chciałbym przypomnieć, a może i dla wielu zgoła podać po raz pierwszy, trochę wiadomości o walkach z przed dwóch lat, o walkach I Baonu Morskiego Strzelców w obronie naszego wybrzeża. Czas mija, fakty się zacierają. Zapewne po wojnie opisów Kampanii Wrześniowej będzie dużo i dowiemy się o wielu bohaterstwach nam nieznanych. Bez wątpienia wówczas i zasłużone odznaczenia i awanse wynagrodzą i tamtych bohaterów, którzy walczyli w warunkach nieporównanie gorszych.

Nie jestem historykiem i trudno byłoby mi twierdzić autorytatywnie, ale wydaje mi się, że bataliony morskie były najmłodszą piechotą polską, tak zwaną piechotą morską. Przynależne macierzyście do Marynarki Wojennej od normalnej piechoty różniły się nie tylko kotwicami na naramiennikach. Trudno stwierdzić czemu, ale było to inne wojsko. Prawdopodobnie dzięki dobrze dobieranym dowódcom, a może dzięki gentlemeńskim stosunkom w Marynarce Wojennej warunki pracy w batalionie były idealne. Żadnych piechocińskich wymyślań z góry na dół. Jednym słowem dryl bez drylu. Żołnierze wyborowi, ekwipunek pierwszorzędny, zadania na manewrach najtrudniejsze, lecz najlepiej wykonane. I B.M.S. w czasie manewrów miał godnych konkurentów jedynie w batalionie rembertowskim. Inne normalne dywizje wyglądały blado w natarciu lub obronie przeciw chłopcom wejherowskim. Nie zdarzało się więc słyszeć nic innego od dowódcy, jak tylko pochwały i ciepłe słowa dla żołnierzy.

Zupełnie specjalne stanowisko piechoty morskiej, jej znikoma ilość, predestynowała bataliony na pierwszorzędne wojsko. Odmienne ćwiczenia, jak transporty morskie pod brzegi Szwecji, stała łączność z Marynarką Wojenną, wytwarzały poczucie pewnej wyższości, a nawet dumy.

6 sierpnia 1939 roku był dniem święta Baonu, dniem bardziej uroczystym niż każdy inny. Dnia tego I B.M.S. w Wejherowie otrzymał od miejscowego społeczeństwa sztandar. Nastrój bardzo podniosły tym bardziej, że nadchodzącą burzę, na wybrzeżu czuło się znacznie wyraźniej, niż w głębi kraju. Gdańsk tuż tuż, w Wejherowie wiele Niemców.

Kapelan wygłosił gorące kazanie. Między innymi powiedział on: "Honoru sztandaru dzisiaj wręczanego będziecie wkrótce bez wątpienia bronili przelewając własną krew." Batalion zdawał sobie dobrze sprawę, że nie są to czcze frazesy, wiedział również, że jest na najbardziej zagrożonej placówce Ojczyzny. Że Gdynia będzie odcięta w pierwszym tygodniu wojny, każdy o tym dobrze wiedział, nikt nie sądził jednak, że nastąpi to pierwszego dnia w pierwszym tygodniu.

Po uroczystej mszy, defilada uzbrojonego po zęby batalionu, z własną artylerią, własną łącznością. Wszystko tip-top. Nastrojom patriotycznym nadawał specjalne znaczenie udział chórów "Lutnia" z terenów wolnego miasta Gdańska. A więc z Wrzeszcza, Gdańska, Oliwy, Sopot. Polacy gdańscy, ci prawdziwi męczennicy polskiej sprawy, odznaczali się siłą wiary w Polskę, hartowaną stałymi prześladowaniami oprawców gdańskich, promieniowali tą siłą.

Tymczasem sierpień kończył się szybko. Piękna pogoda stanowiła kontrast ponurej rzeczywistości. Wejherowo—typowe miasteczko pomorskie tonęło w zieleni otaczających miasto lasów. Czyste uliczki wyglądały jak za dobrych, spokojnych lat. Przed sklepami wystawali starzy Kaszubi, od czasu do czasu zażywając tabaki ze spracowanej ręki, powiewając kolorową chustką koło czerwonego nosa. Ciężarówki z piwem i lemoniadą toczyły się z hałasem przez rynek.

Jedynie życie w koszarach batalionu i na okolicznych wzgórzach kipiało dniem i nocą. Dniem i nocą wśród lesistych wzgórz ludzie jak mrówki skrzętnie wkopywali się w ziemię, znacząc ją nowym świeżym pasem piasku, wyrzucanym z długich rowów strzeleckich. Druty kolczaste motały zardzewiałą pajęczyną okoliczne drzewa. Dniem i nocą zmęczeni oficerowie i podoficerowie w koszarach krzątali się nad planami, wielkimi mapami, porozkładanymi po stołach i podłogach. Sorty mundurowe, długo chowane po magazynach, wychodziły na światło dzienne. Broń czyszczono z grubej ochronnej warstwy wazeliny. Telefon brzęczał bez przerwy.

Dzień 1 września zastał Batalion a właściwie już pułk Morski Strzelców, spakowany na podwodach, w pełnym pogotowiu bojowym, z liniami obronnymi już obsadzonymi. Pierwsze bomby padły na Puck i Rumię. Ponure, wilkiem patrzące twarze wejherowskich Niemców, dodawały tragizmu sytuacji. Batalion rozwodniony do stanu pułku ilościowo, z ekwipunkiem rzeczywistym dla 1 pełnego baonu. To też stan uzbrojenia fatalny. Pierwsze 3 kompanie wyposażone jako tako, reszta natomiast bez rkm'ów /dosłownie/. Stany podoficerskie za szczupłe. Jedynie oficerów było dosyć, tak że nadwyżkę wysłano do zapasowego punktu zbornego w Hotelu Emigracyjnym w Gdyni.

W obronie Wejherowa brał udział 1 P.M.S., wzmocniony batalionami Obrony Narodowej. Stanowiska obronne, polowe, na południe i połdn. zachód od miasta, z okolic Boleszowa poprzez Górę Zamkową, Młynki w kierunku na Wiczlino, gdzie stykały się ze stanowiskami obrony Gdyni.

Okres do 9 września—to stałe nocne wypady, uwieńczane sukcesami w postaci amunicji, broni, samochodów, lornetek i papierosów niemieckich. Broń ta i amunicja były używane w dzień, w walkach obronnych. Do 9 września pozycje są trzymane mocno. Straty zadawane, szczególnie przez artylerię niemiecką, poważne. Wypady nocne, dokonywane co nocy, nie były pozbawione uroku ryzyka.

Było to zresztą odwróceniem porządku do góry nogami. Obsady liniowe zażywały jakiego takiego spokoju, będąc początkowo raczej pod ogniem artyleryjskim tylko, gdy kompanie odwodowe co nocy wychodziły na zaskoczenie Niemców. Jeszcze przed zmrokiem wypadowa kompania zbierała się w lesie, koło m.p. d-cy pułku. Godziny przed akcją dłużyły się. Zdawało się, że zmrok chyba nigdy nie zapadnie. Skupienie i poważny nastrój ogarniał wszystkich żołnierzy. Ogniki tlących się papierosów znaczyły miejsce kompanii w cieniu gęstego lasu. Od czasu do czasu brzęknęła manierka—to podniecony żołnierz wlewał łyk napoju przez zaschnięte gardło.



"Gryf Pomorski"—herb ziemi pomorskiej, o którą toczył bohaterskie boje I Batalion Morski Strzelców z Wejherowa

Mimo stałego przemęczenia nikomu spać się nie chciało. Bezruch pozwalał myślom bezkarnie kołatać się po zmęczonych głowach. Jeszcze trudno było uwierzyć, że wojna, prawdziwa wojna rozpaliła się na świecie. O zmroku naloty cichły, nawet artyleria nie mąciła zapadającej ciszy.

Wreszcie szeptem podany rozkaz poderwał ludzi na nogi. Kompania wyciągnęła się w długi wąż, cicho sunący poprzez drzewa, przez mały mostek w dolince nad strumykiem, wtulonym w gęstą pierzynę białej mgły. Cichy łańcuch skupionych żołnierzy szybko przemknął się przez szosę i zatrzymał się na kalwarii wejherowskiej. Stacje Męki Pańskiej czarno rysowały się wśród ciemnych krzaków i drzew. Pod pochyloną sylwetką krzyża nie można było ujrzeć Chrystusa, ale w myśli widziało się raczej zgiętą pod ciężarem postać Polski. Tak Polska to zastępowała Chrystusa w tej ciężkiej drodze.

Rozkaz sprawdzenia granatów przerwał pracę zmęczonej głowy. Zmęczenie też ustępowało jakiejś dziwnej trzeźwości i rzeźkości umysłu. Wszystko stawało się jasne, proste. Zadanie: przejść przez własne linie obronne i cicho zaskoczyć Niemców w Gowinku, poczem powrót z łupem przez Białą do Wejherowa.

Zastygły przed chwilą wąż ożywił się i szybko utonął w lesie. Cicho, bezszelestnie prawie dopełzał do naszych linii. Naraz ckm rozterkotał się krótką serią. Wąż wdusił się w wilgotną trawę. Psiakość—to nasi otworzyli ogień. Na szczęście krótka seria może nie obudziła Niemców. Teraz już zaczynała się praca, posuwanie się po zajętym przez npla terenie. Niska mgła ułatwiała szybkie zbliżenie się. Wąż cicho, sprawnie podpełzał po falistym terenie do wioski. Bluznął jadem zabójczych granatów na śpiącą ofiarę. Cisza nocna zamieniła się w piekło.

Piramidy ognia od wrzucanych przez okna granatów rozpruły czarną zasłonę. Skowyt Niemców i huk granatów tętnił w uszach. Uciekające zygzakami białe sylwetki żołnierzy w bieliźnie rozpryskiwały się z wioski jak krople mleka padające na czarny stół. Białe rakiety niemieckie jak oszalałe cięły w poprzek aksamitny horyzont. Huk moździerzy zagrzmiał basem.

Hałas jak powstał nagle, tak i cichł szybko. Jeszcze gdzieś ckm ciągnął różaniec zapalających pocisków, gdzieś pojedyńczy strzał i jęczenie jakiegoś niedobitka. Wąż, zgrubiały łupem, składnie i szybko wracał do legowiska. Bzyk zabłąkanych kul nie przerywał ruchu. Teraz już po pierwszym chrzcie ognionym—upojonych udanym zaskoczeniem i szybką likwidacją wroga—żołnierzy niosło do domu, do Wejherowa. Nawet granat, rzucony z własnych linii, wywołał śmiech. Nie zranił zresztą nikogo.

Po przejściu własnych linii dopiero zmęczenie opadało każdego. Narkoza nerwów przestała działać. Każdy czuł mokre ubranie, ciężar broni i amunicji, głód i brak snu.

Pewnej nocy dowódca całości zażądał możliwie jak najsilniejszego oddziału, na wypad w kierunku na Chwaszczyno z linii obronnych Chylonia-Witomino-Orłowo. Na stanowiskach pozostało kilka drużyn /Niemcy z zasady w nocy nie atakowali/. Reszta załadowała się w przemalowane na ochronny kolor, gdyńskie autobusy M.T.K. Silny ten wypad, wzmocniony batalionami Marynarki Wojennej, zaskoczył nieprzyjaciela całkowicie.

W pewnym małym domku, oficer niemiecki, spokojnie, bez munduru siedzi sobie przy stole. Zaskoczony nagłym pojawieniem się "Białych Psów" /marynarze w białych drelichach/ i wejherowskich chłopców, wyskakuje po drabinie na stryszek a stamtąd na zewnątrz. Ogłupiały z przerażenia, wskakuje do pierwszego leja w pobliżu. Spokojnie obserwujący to jeden z żołnierzy, odbezpieczył granat i z pozdrowieniem "Heil Hitler" podrzucił w lej. W ten i podobny sposób, zaskoczeni Niemcy, kończyli swój udział w "6-Wochen Blitzkrieg in Polen."

Łup był niezgorszy. Około 200 lornetek, ckm'y, rkm'y, brakujące dotkliwie parabellum, amunicja a nawet samochody. Mimo wszystko amunicji i broni brakowało przez cały czas walk. Obrona Narodowa, złożona z Kaszubów, była najsłabszym elementem. Widząc po raz pierwszy wojnę na własnej ziemi, domy w ogniu, bydło rozszarpywane pociskami, ludzie ci bardzo zmaterializowani, nie wytrzymywali nerwowo. Często po prostu wiali. Z rozgoryczeniem przychodził na myśl popularny wiersz Derdowskiego:

"Nigdy do zgube
Nie przyńdą Kaszube"

Trzeba przyznać, że warunki były nie do pozazdroszczenia. Obrońcy wybrzeża zostali odcięci od reszty kraju w południe 1 września. Otoczeni byli ze wszystkich stron, bo nawet z zatoki Gdańskiej jednostki marynarki niemieckiej pojawiły się już 3 września, czynnie wspierając natarcie niemieckie. W pogłoski o odsieczy gen. Bortnowskiego nikt naprawdę nie wierzył. Zresztą sam dowódca pułku ostrzegał stale, że na pomoc narazie liczyć nie można. Napór npla wzrastał niemal z każdą godziną. Lotnictwo niemieckie całe dni nad głowami.

9 września 5 kompania, po nocnym wypadzie, którymś z rzędu, spała na kwaterze w pałacu Keiserlinga. Właściciele internowani. Pusty gmach położony w ślicznym parku z grobami dawnych właścicieli na parku. Koło południa padły pierwsze pociski artyleryjskie w parku. Świst ścinanych drzew obudził zmęczonych żołnierzy. Wydano obiad. Jeden pluton wydzielony do wzmocnienia innej kompanii wyszczerbionej w obronie. Pozostałe dwa ulokowały się w piwnicach.

Koło 17-ej telefonogram od dowódcy pułku, zerwał wszystkich na nogi. Rozkaz krótki: "Wyruszyć natychmiast do przeciwnatarcia." Kierunek z prawej strony wzdłuż szosy z Wejherowa do Białej, Sopieszyna, Kartuz. Równocześnie z kierunku Gniewowo miały uderzyć dwa bataliony marynarzy z Gdyni.

Żołnierze chętnie jak zwykle, mimo zmęczenia, szybko pomaszerowali w nakazanym kierunku. Teren falisty, pokryty gęstym zagajnikiem utrudniał marsz. Po przejściu trzech km. kompania w sile dwu plutonów /około 80 ludzi/, dostała ogień maszynowy od czoła. W chwilę potem zapach pijanych Niemców uderzył mocno w nozdrza.

Walka była krótka. Bataliony Marynarki spóźniły się ½ godz. Tyralierka niemiecka, potrójna w głąb, uzbrojona w ręczne k.m. i automatyczne pistolety, zasypała ogniem maszynowym i ręcznych granatów zmęczonych Polaków, nie posiadających żadnej broni maszynowej. Ogniste piramidy granatów, ścinane gałazki młodych świerków przysłoniły widok. Dowódca jednego plutonu padł ranny z miejsca. Jego zastępca młody podchorąży dostał pomieszania zmysłów. Dziki jego śmiech stopił się z grzechotem k.m.'ów.

Prowadzący na prawym skrzydle podporucznik w kilka sekund znalazł się poza pierwszą tyralierą npla. Absolutnie sam z rewolwerem w ręku. W tym momencie stracił napewno zapał do polowań, gdyż znalazł się sam w roli zwierzyny w kotle. Cudem udało mu się przedrzeć z powrotem przez pierwszą tyralierę pijanych Niemców. Kompania została rozbita. Zmrok zapadał i szczęśliwie Niemcy zgodnie ze swoją taktyką, nie wykorzystywali sukcesu w nocy. Wejherowo zajęli dopiero następnego dnia w dzień.

Gniewowo, nowy punkt zborny zdziesiątkowanego pułku, został zaatakowany równocześnie. Oddziały wycofujące się z Wejherowa, otrzymały ogień z okien domów. To uprzywilejowani Niemcy pomorscy odwdzięczali się za to, że nasi panowie starostowie i inne władze traktowali ich przez rękawiczki. Instynktownie poszczególni żołnierze wycofywali się w kierunku na Gdynię. Szosa zapchana mężczyznami i chłopcami ewakuowanymi z Wejherowa. W Białejrzece dowódca pułku ppłk. Prószyński zbierał swoich żołnierzy, którzy ustąpili przed siłą że lecz nie załamali się na duchu do końca walk.

Pułk otrzymał nowe zadanie, osłaniać wycofywywanie się na Kępę Oksywską oddziałów broniących Gdyni. Cicha, schludna Reda, miała być świadkiem krwawych zmagań. O świcie ludność cywilna zaczęła opuszczać czyste czerwone, ceglane domki. Wozy i wózki, napełnione dobytkiem sunęły smutnie szosą w kierunku Gdyni. Bydło wypędzone, wałęsało się po okolicznych łąkach.

Bagna w kierunku na Rewę i Kępę Oksywską miały być drogą oderwania się pułku. Reda, leżąca na początku równiny siedzi okrakiem na skrzyżowaniu dróg, tak kołowych jak i kolejowych z Gdyni do Wejherowa i Pucka. Wieczorem, pociąg pancerny, zmontowany pośpiesznie w warsztatach Marynarki Wojennej, przypomniał ludności niemieckiej w Wejherowie, że Polacy jeszcze bronią wybrzeża.

Pozycje w Redzie nie mogły przedstawiać żadnych wartości obronnych. Nieprzyjaciel obsadził zalesione wzgórza, mając doskonały wgląd i obstrzał całej miejscowości. Wykonanie zadania wydawało się beznadziejne. Przydzielone poszczególnym plutonom domy okazały się zaduże do obrony. Pluton liczący 11 ludzi wraz z oficerem miał do obrony 12 otworów okiennych i drzwiowych. Ulokowano się więc w wykopanych stanowiskach przed domami.

Koło 10 rano pierwsze zwiastuny natarcia zaskowytały nad głowami. Za długie strzały poprzecinały jedynie linie wysokiego napięcia. Smutno, bezczynnie zwisły druty z wysokich słupów. W południe już domy były w ogniu. Pluton żołnierzy bezpiecznie leżący w rowie, naraz wyrywa na łąkę pod silny ogień artyleryjski. Przyczyną tego bezpośredniego zagrożenia, okazały się napastliwe osy. Po zniszczeniu tego dodatkowego i nieprzewidzianego nieprzyjaciela, żołnierze powrócili na swoje stanowiska.

Teraz zaczęło się piekło. 80 kilka domów zamieniło się w gruzy i dymiące zgliszcza. Niemieckie ckm'y, garłacze i działa siekły bez miłosierdzia z okolicznych wzgórz. Początkowo ogień z przodu, potem i wzdłuż domów.

JANUSZ WITEK

W bieżącym numerze "Polski Walczącej" rozpoczynamy
cykl fotomontaży Jana Polińskiego,
poświęconych wszystkim rodzajom Polskich Sił Zbrojnych, wszystkim broniom i służbom. Cykl ten ujmuje je jako żywą, ciągłą jedność od września 1939 r., gdziekolwiek są, formują się i walczą.

Pierwszy fotomontaż tego cyklu poświęcony artylerii przeciwlotniczej oparty jest na nigdzie dotąd niepublikowanym materiale fotograficznym. W najbliższych numerach znajdą się fotomontaże poświęcone lotnictwu myśliwskiemu, marynarce wojennej, artylerii i i.

Zachęcamy Kolegów, którzy nie zbierają roczników "Polski Walczącej" do kompletowania kart z fotomontażami tego cyklu. Wszystkie fotomontaże będą jednego formatu i złożą się razem na piękną pamiątkę.

Bez black-outu

Przeżyłem bardzo ciekawy tydzień. Szereguję tych kilka dni, pełnych wrażeń, przenoszę na taśmę filmową i zapraszam Czytelników na premierę mego "Tygodnika Niemego Nr. 1." Będzie niemy, bo brak mu będzie czasem odpowiedniego dźwięku, trudno mu będzie często o dobór słów, będzie niemy, bo przeważnie obraz będzie mówił sam za siebie. Wyświetlam mój tygodnik . . .

* * *

Zdjęcie nr. 1 "Ameryka-Echo," dziennik wychodzący w Toledo, Ohio, przynosi w numerze 11 z daty 15 marca 1942, ciekawą fotografię kilku Indian, zaopatrzoną w następującą notatkę: "Szefowie szczepów indiańskich w Ameryce ofiarowali pióropusz wojenny Stalinowi jako najlepszemu wojownikowi w r. 1941 i nadali mu tytuł honorowego wodza wszystkich Indian. Pióropusz odebrał p. E. Carter, prezes Stowarzyszenia Pomocy dla Rosji."

Pomoc dla Rosji przybiera w Ameryce swoistą formę. Należy się obawiać, czy nie wpadnie Indianom do głowy ofiarowanie jakiegoś bardziej egzotycznego prezentu.

* * *

Zdjęcie nr. 2. Do Szkocji przybyły w tym tygodniu nowe transporty Polaków z Rosji. Obraz niemy . . . bez słów. Poznaję znajomych, gdy podejdą bliżej i podadzą swoje nazwisko, bo w wielu wypadkach w tamtym klimacie posiwiały im przedwcześnie czarne czupryny. Słyszę jeszcze pisząc te słowa ich niemal zbiorowy szept: "Ratujcie ludność cywilną w Rosji! Śpieszcie się, do zimy mało czasu! To będzie walka o życie Polaków."

Jaką formę przybierze nasza pomoc? Pióropusz—czy . . . dyskusja nad opodatkowaniem stałym lub doraźnym?

* * *

Zdjęcie nr. 3. Na pięknej Princes Street w Edynburgu w słoneczną niedzielę odbywa się pochód szkockiej młodzieży komunistycznej. Niosą barwne transparenty i toną w czerwonych kolorach. Wszyscy po dobrym lunchu, więc pochód trwa dość długo, po czym w godzinie przeznaczonej na "afternoon tea"—rozwiązuje się automatycznie. Wypadków szkorbutu i śladów ran na ciele nie zanotowano. To jest wzór ruchu, opartego na praktycznej, życiowej podstawie!

Na małej trybunce, naśladującej mównicę w Hyde Parku, zostaje jakiś samotny orator. Otacza go grupka spacerowiczów, uprzejmie uśmiechniętych. Orator-amator mówi z zapałem bijąc pięścią w deski trybuny. Z boku dyskretnie stojący policjant życzliwie współpracuje z mówcą uważając, by przechodnie nie zakłócali mu cennego spokoju. Towarzysz mojej obserwacji opowiada mi, że jeden raz tylko podobno w Hyde Parku policjant przerwał mowę takiego amatora. Stało się to w chwili gdy zapalony mówca nawoływał publiczność do zdemolowania pałacu Buckingham! Ów rozsądny policjant powiedział krótko:

—"Ladies and gentlemen. Szkoda czasu na słowa. Chwila dojrzała do decyzji. Kto z państwa chce demolować pałac królewski niech przejdzie łaskawie na prawą stronę trybuny, kto chce iść do domu—proszę na lewo."

Ponieważ w Anglii jest ruch lewostronny, wszyscy poszli na lewo. Westchnąłem cichutko: Ach, gdyby u nas znalazł się taki pomysłowy "Bobby" i w chwilach nierealnego "żołądkowania się," w momentach przelewania z pustego w próżne—zapytał po prostu: Na lewo, czy na prawo?

* * *

Zdjęcie nr. 4. Gdzieś w Szkocji do oddziału Wojska Polskiego przywieziono 2 puste beczki do kiszenia kapusty. Dowódca kazał postawić wartę dzienną celem uchronienia beczek od wewnątrz przed sabotażem z zewnątrz, oraz wartę nocną od zewnątrz celem zapobieżenia kradzieży wyżej wymienionych beczek od wewnątrz.

Po napełnieniu beczek kapustą otoczono "m.p." beczek zasiekami z drutu kolczastego i z tych powodów skasowano wartę dzienną. Natomiast wzmocniono o dwu ludzi wartę nocną, która obejmowała chronienie następujących pięciu "obiektów" wojskowych: 1/ beczki, 2/ zasieki, 3/ kołki w beczce i kołki w zasiekach, 4/ kapustę, jako element zapełniający beczki, oraz 5/ wartę nad wartą. Słowem . . . jeszcze jedna polska mania . . . wartomania.

* * *

Zdjęcie nr. 5. Przez ulice szkockiego miasta, w którym mieszkam, przejeżdżał wczoraj ładny otwarty samochód, poprzedzony jednym czarnym autem z przodu, tuż za otwartym samochodem jechało drugie czarne auto. Zaraz za nim ciągnęła się normalna kolumna ulicznych pojazdów. Jechał więc wózek z napisem: "Butcher," chłopcy na rowerach od grocera, ciężarówka z mlekiem, a bokiem przepychały się normalnie tramwaje. Pomyślałem: ot jakiś skromny ślub.

Przypatrzyłem się bliżej. W otwartym samochodzie jechał król Imperium Brytyjskiego Jerzy VI z królową Elżbietą. Nikt nie przerwał ruchu ulicznego. Nie było warty ani kordonu, nie było żandarmów na motocyklach, nie było "tajniaków" na chodnikunic tylko ich dwoje, a z nimi butcher, grocer, milk-cooperative i dzwoniące tramwaje. Butcher zawołał do króla: "Hallo, Georgie," grocer robotnik portowy na pożegnanie powiedział do królowej: "Cheerio, Mum." I uśmiechnęli się . . . i zrozumieli się . . .

Nikt nikogo nie "zaszczycał." Nikt nikomu nie "składał hołdów."

* * *

Zdjęcie nr. 6. W Londynie w ubiegłym miesiącu odbywała się akademia z okazji Trzeciego Maja. Ponieważ po południu miał się zjechać do teatru cały rząd, więc od wczesnego południa dokoła teatru stała żandarmeria.

Tak pilnie i dokładnie wykonywała rozkazy, że jeden z naszych kolegów, zaproszony do współudziału w akademii jako wykonawca, z trudem "przekradł się" do własnej recytacji, a myląc "warty i pogonie" wtargnął na scenę, by wygłosić wiersz. A jako starszy strzelec miał wszystko w porządku: kołnierz zapięty, opinacze służbowe; jako dyplomowany deklamator miał przepisowe proporczyki kawalerii, miał przepustkę do Londynu i przepustkę do Rubensa, recytował z pamięci numer własnej legitymacji. I nie pomogło.

* * *

Zdjęcie nr. 7. Opowiadał mi w ubiegłym tygodniu mój miły znajomy wspomnienia swoje ze szkoły podchorążych w Polsce. Uśmiechał się do nich. Pewnego razu, gdy nie mógł dość szybko wyleźć na stromy pagórek, pan kapral kazał mu powtórzyć kilkakrotnie ten wyczyn w pełnym oporządzeniu, przy czym za każdym razem, nieszczęśliwy podchorąży stając na szczycie wzgórza i spełniając kaprys pana kaprala musiał wołać z całych sił: "Ziemio rozstąp się"! Należy dodać, że okrzyk był całkowicie oryginalnym pomysłem pana kaprala.

Przy czwartej powtórce tajemnicze okrzyki podchorążego, wydawane rozdzierającym głosem na szczycie pagórka, zainteresowały pana porucznika, który przybywszy zwrócił uwagę kapralowi na niestosowny z punktu widzenia służby okrzyk, gdyż "Ziemio rozstąp się"—pozbawione jest logiki i sensu, albowiem gdyby ziemia rozstąpiła się pagórek przestał by być pagórkiem, a tym samym miejsce ukarania podchorążego musiało by być meldowane negatywnie, czyli przestało by istnieć.

Z ulgą pomyślałem sobie, że to już minęło, że teraz inaczej, inny duch, nowoczesne metody . . . Tymczasem mówią sobie ludziska na ucho o jakichś kostkach z tekturką dla utrzymania "kantu," o wynoszeniu jednej słomki na kocu w nocy przez gremium sali, o słynnym "pogrzebie zapałki" . . . Powiadają, że jeszcze "somewhere in Scotland" znajdziesz te zabytki w niektórych wyższych uczelniach wojskowych.

Czy naprawdę? Wierzyć się nie chce w takie nowoczesne sposoby rzeźbienia charakteru. A może by tak wynieść te stare metody "naukowe" i "wychowawcze"—czasem razem z wykładowcą—na dużym kocu na zielony pagórek i wołać chóralnie wielkim głosem: "Ziemio rozstąp się" . . .

* * *

Zdjęcie nr. 8. Rzecz dzieje się w pewnym oddziele w Szkocji. Jak w wielu innych zmieniono marmeladę brytyjską czerwoną na marmeladę brytyjską żółtą. Rozmawia dwóch naszych żołnierzy:

Żołnierz I Cholera! Granda! Zmienili marmeladę.

Żołnierz II. A co? Ta nowa gorsza? Gorzka?

Żołnierz I. Nie, owszem. Słodka . . . tylko . . .

Żołnierz II. Nie smakuje ci?

Żołnierz I. Owszem smakuje. Tylko . . .

Żołnierz II. Tylko co?

Żołnierz I. Tylko d l a c z e g o ż ó ł t a?—Psiakrew!

* * *

Zdjęcie nr. 9. W wojsku polskim na terenach Z.S.R.R. żołnierze zrezygnowali dobrowolnie z całodziennego jedzenia. Należne im racje żywnościowe pobierają i ofiarowują wynędzniałej polskiej ludności cywilnej. Sami w każdą sobotę głodują cały dzień. Trzeba dodać, że ci żołnierze są w tygodniu zaprowiantowani na połowie porcji naszego normalnego brytyjskiego wyżywienia.

* * *

Zdjęcie nr. 10. Przypomniałem sobie, że uchwałą pewnego zebrania oficerskiego somewhere in Scotland, opodatkowanie miesięczne każdego z oficerów w tym oddziele na cele społeczne wynosić będzie 1% poborów /!/ To znaczy podporucznik zapłaci 3 szylingi i 6 pensów, a major około 2 razy więcej. Raz na miesiąc. Na Polaków w Rosji, na jeńców wojennych, na wszystkie cele społeczne razem wzięte. Jeden procent. Czyli z tysiąca funtów wypłaconych poborów, pójdzie 10 funtów na pomoc bliźniemu. Czy przypadkiem nie większy bywa sobotni "bank" przy zielonym stoliku—panowie?

A teraz posłuchajcie: wśród internowanych żołnierzy w Szwajcarii zebrano: 1800 fr. szw. na pomoc jeńcom, 350 fr. na pomoc rodzinom żołnierzy polskich we Francji i 60.000 franków francuskich na pomoc Polakom w Rosji. Słuchajcie, słuchajcie! Jeńcy, oficerowie polscy w Niemczech, zebrali równowartość 800 dolarów dla ulżenia doli jeńców szeregowych.

Tak jest za drutem kolczastym. Tak jest w obozach internowanych. A tu? Jeden procent gaży. Więcej takich uchwał panowie, a będziecie mogli zupełnie spokojnie grać w bridge'a, bo nie dojdzie już do Was szept tych najbardziej zbiedzonych Polaków z Rosji, będzie za późno . . .

Zima zamknie im usta. Niektórym na zawsze.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Z drugiej podróży generała Sikorskiego do Stanów Zjednoczonych



Dopiero teraz otrzymaliśmy zza oceanu tę fotografię przedstawiającą gen. Sikorskiego w towarzystwie leadera partii republikańskiej Wendell'a Willkie /z lewej min. Raczyński, z prawej ambasador R.P. w Waszyngtonie Ciechanowski/.

Pomoc dla Polaków w Rosji: £1,892

Przy niniejszym przesyłam money order na sumę £23.5.5 /dwadzieścia trzy funty, pięć szyl. i pięć pensów/ zebraną ze składek oficerów, podoficerów i szeregowców Oddziału Polskiego w S., na fundusz pomocy Polakom w Rosji.

Polski Senior Oficer
Inż. K. Mjr.-Pil.

* * *

Z okazji awansu, zamiast "drinka" dla kolegów dywizjonu składamy na pomoc Braciom naszym w Rosji £6.

Zbigniew Sta., Teofil Poż.,
Stanisław Wol.

Sumę tę załączam równocześnie, prosząc o przekazanie jej za pośrednictwem poczytnego pisma "Polski Walczącej"—na właściwy cel.

Stanisław Wol. kpt. pil.

Dear Sir,

Last month the Chairman and members of the Polish Relief Committee in Birmingham got up a concert for the benefit of Poles in Russia. This concert was held at the University and was much appreciated. A considerable sum of money, £64, was collected, and it is now the wish of my Committee that I should send you on their behalf a cheque for £100 with the request that the money shall be sent to the Polish Ambassador in Russia. I am accordingly sending the cheque, with my own good wishes, and should in due course be glad to have a receipt, and if later on we may have a letter from the Ambassador in Russia, I know it would be appreciated by the members of the Birmingham Committee.

Yours truly,
W. A. Cadbury,
Hon. Treasurer.

* * *

1 Batalion Strzelców Podhalańskich pamiętając zawsze o Rodakach w Rosji przesyła, poza normalnymi miesięcznymi składkami dodatkowo £32 sh.1 d.8 zebrane z okazji swego Święta oddziału, obchodzonego ściśle wewnętrznie.

Dowódca i żołnierze

* * *

Ks. kap. Batalionu Podhalańskiego przesyła na Rodaków w Rosji £1 sh.18 d.4, z tytułu ofiar na intencje mszalne.

* * *

Pozdrowienia dla Saperów Polskich w Rosji.

Saperzy Pierwszej brygady w Szkocji przesyłają tą drogą serdeczne pozdrowienia dla swoich Kolegów saperów znajdujących się na terenie Rosji oraz składają na fundusz Pomocy Polakom w Rosji sh.10.

Saperzy

* * *

Polacy przebywający w jednym z sanatoriów w Szkocji przesyłają piątą składkę na pomoc Rodakom w Rosji w sumie £2 sh.14. Powyższą kwotę prosimy przekazać do P.C.K. w Londynie.

Za ofiarodawców

L. Olcz.

* * *

Pracownicy Biura Prop. i Ośw. M. S. Wojsk, przesyłają, stosownie do decyzji stałego, dobrowolnego, progresywnego opodatkowania na rzecz Polaków w Rosji £14 sh.2 za miesiąc czerwiec br.

* * *

Zamiast wieńca na trumnę ś.p. kpt. int. Bobulskiego Wojciecha, oficerowie intendentury I Korpusu przesyłają kwotę £2 sh.15—na pomoc Polakom w Rosji.

Ppłk. B.

* * *

Ofiaruję £3 na pomoc dla Polaków w Rosji, dziękując równocześnie panu wicekonsulowi Z. Derdzińskiemu za rzetelne załatwianie moich spraw zawodowych.

Marynarz pokładowy

L.L.

* * *

WPanie Redaktorze,

Ostatnia składka majowa na Rodaków w Rosji przyniosła w Szpitalu nr. 2 wraz z później złożonymi kwotami £20 sh.16 d.7.

W szczególności złożyli:

	£	sh.	d.
Strz. Tadeusz. por	£12	sh.10	d.
Dun.-Bart. Jerzy, kpt.	1	—	—
X.Y. dr. G. L. por.	1	—	—
Ciel. Józ. plut.	—	5	—
Paszk. Nik. mgr. por	—	10	—
Ze sprzed. modlitewn.	—	3	—
Zbiórka podczas naboż.	3	5	—
Jakim. Wikt. st. strz.	—	5	—
Strz. Tad. por.	—	3	—
S. Węgrz. Maria	—	10	—
Gryszt. Stan. plut.	—	10	—
Ujejska Anna	—	5	—
Matyj. Jan. por.	—	10	—
Skonfiskow. w kartach	—	—	7
Razem	£20	sh.16	d.7

Prócz datków pieniężnych wielu z personelu szpitalnego i z pomiędzy chorych złożyło dary w naturze, których wyszczególnienie zajęłoby wiele miejsca. Dla zbudowania innych niech choć skrócone ich nazwiska o tym zaświadczą. A mianowicie:

Kpt. Jerzy D.-Bart., Sierż. Ant. Szym., Strz. Dym. Józef. Kpr. Madr. Jan., Kpr-pch. Beck. Józ., Strz. Boczniuk An. Sadk. Alf., Dr. Dz.-Jur. St., Strz. Brod. Leon., strz. Oleks. Mik., strz. Post. Józ., Kpr. Woźn. Józ., Strz. Kołodz. Wawrz., Plut. Ciel. Józ., St. sierż. Liszk. Bol., st. strz. Kal. Bol., kpr. Górn. Wacł., Bomb. Trusz. Miecz., S. Węgrz. Marja, Płk. Dr. Stan. Adolf, Kpr. Marcink. Józ., Kpr. Czemb. Józ., Kpr. Krzyst. Karol, Bien. Bol., kpr. Czemb /powtórnie—530 żyletek/, Feld. Witold, Jakub. Jan, Strz. Pust Józ. /powt./ Strz. Baszt. Józef, Strz. Jakób. Tad., Strz. Wilan Wikt., Feld. Wikt. /powt./, Kpr-pch. Szwejc. Michał.

Za to wszystko niech mi wolno będzie złożyć serdeczne podziękowanie —"Bóg zapłać"!

Ks.K.P.

* * *

Zebrani członkowie byłej XIII bryg. międzynarodowej "im. Jarosława Dąbrowskiego," internowani w obozie koncentr. Miranda de Ebro, postanowili z okazji Święta Narodowego Konstytucji 3-go Maja—której zasady obecny bój odnawia—przekazać ten skromny dar, Armii Polskiej walczącej wspólnie z bohaterską Armią Sowiecką.

/Następują 22 podpisy, do listu dołączono sumę 108 pesetów w banknotach./

* * *

Przesyłam należność za prenumeratę "Polski Walczącej," załączając również 1 funta na pomoc dla Polaków w Rosji. Przy sposobności ślę najszczersze słowa uznania dla redakcji "Polski Walczącej," pisma, które zawsze z jak największym zainteresowaniem czytam.

Aleksandra Ziembicka

* * *

Nadto przekazali na ten cel: p. H. Zagórska sh.10 i E. Jaworzyn w Szwajcarii sh.10.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £209 sh.3 /słownie dwieście dziewięć funtów, trzy szylingi/ oraz 108 pesetów przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1,892.19.7 /słownie tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt dwa funty, dziewiętnaście szylingów, siedem pensów/ i 108 pesetów.

Z życia obozów

Polacy z Rosji dołączają do naszych szeregów

Od długich miesięcy chodziły o nich wieści po obozach i lotniskach polskich. Że już wypłynęli, że są w drodze. Kiedy się zaczęły snuć te żołnierskie pogwarki i domysły na temat kolegów z Rosji, oni spędzali tam jeszcze zimę w płóciennych "pałatkach," albo w mało wytwornych, choć nieco mniej przewiewnych "zemlankach."

Za to nikt nie wiedział, kiedy przybyli i wylądowali na tym brzegu; dotrzymano ściśle tajemnicy. Tak dalece, że nawet pierwsze powitanie odbywało się "na odległość": oni gromadkami wychodzili na pokład, cisnęli się do "luk," a my stojąc na skraju nadbrzeża usiłowaliśmy im wykrzyczeć, jak bardzo serdecznie cieszymy się, że dołączyli do naszych szeregów, jak gorąco ich witamy. Wiatr, który nas tak daleko rozegnał jednych od drugich i tak długo rozdzielonych trzymał, przeszkadzał i teraz, ale daliśmy sobie z nim radę. Cóż jednak znaczy poczciwy szkocki wiatr w porównaniu z tym, z którym mocowali się oni?

Długo nie było wiadomo, kiedy im pozwolą zejść na ląd, kiedy skończy się kwarantanna i rozmaite uciążliwe formalności. Na szczęście wszystko to szybko minęło i pewnego popołudnia przyjechali.

Wysypali się dużą gromadą z pociągu na stacji szkockiego miasteczka. Powitało ich słowo dowódcy i polska pieśń, odegrana przez orkiestrę strzelecką. Ustawili się po tym na drodze i zabrawszy tobołki ruszyli do pierwszych pobliskich kwater nie tyle w zwartych czwórkach, ile "kolumną familijną."

Gromady ludności szkockiej, stojącej wzdłuż ulicy, którą przechodzili, przyjaznym uśmiechem witały nowych obrońców tej wyspy, przybyłych z dalekiej Rosji. Przyglądano się im uważnie i serdecznie. Widocznie już dotarła do tych stron wieść o tym, co przeżyli ci ludzie w olbrzymim mroźnym kraju.

A oni mimo długiej, ciężkiej podróży postawę mieli piękną, żołnierską. Wszyscy odziani byli w angielskie *battledressy*, nie zawsze może zbyt "dopasowane," ale nowe i solidne. Na czapkach błyszczały orzełki różnego rysunku i rozmiarów, naszywki i oznaki stopni były bardzo oryginalne, domowego wyrobu. U wielu na kołnierzach brytyjskich "tunik" jasno-żółte wyłogi. To lotnicy ozdobili swoje mundury barwami tymi samymi, które nosili w Polsce.

Przy wejściu do kwater stoi już orkiestra i wita nadchodzących wiązanką melodii narodowych. W szeregach radosne poruszenie, a gdy zabrzmiały tony "Warszawianki," niejeden prostuje się dumnie.

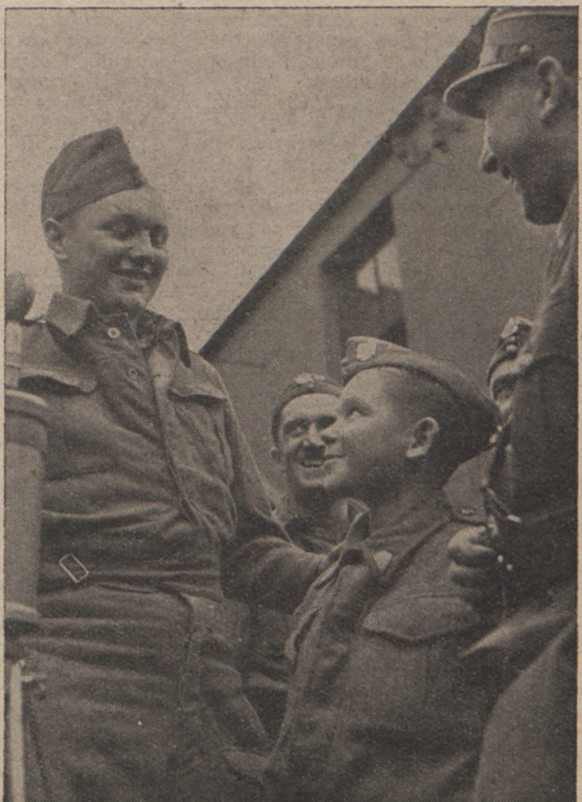
Obszerna sala przedwojennego małomiasteczkowego "dancingu" zapełniła się przybyłymi; złożyli już pod ścianami skromny dobytek i przystanęli czekając na wieczerzę. "Kadra" tutejszych i grupka gości podeszła do nowych kolegów. Popłynęły rozmowy. Trudno było z początku pytać o to, co każdego z nas najbardziej interesowało: co przeżyli ci ludzie, jakie drogi wydeptali, zanim dotarli do bratnich szeregów. Wiedzieliśmy już bowiem z opowiadań dawniej przybyłych, że niemal każdy, kto "stamtąd" wraca przywozi wspomnienia takie, że zobrazować je niesposób, a czasem uwierzyć trudno . . . Zaczęliśmy więc mówić o ostatniej podróży.

—"Był to dla nas prawdziwy odpoczynek—mówi młody przedwcześnie osiwiały oficer-Poznaniak.—Płynęliśmy na statku pasażerskim wygodnie, spokojnie, jakby jakimś cudem przeniesieni do innego, wspaniałego świata. Wydawaliśmy nawet własną gazetę—szczyt komfortu! Niemały kawał świata zwiedziliśmy. Wszędzie witano nas tak serdecznie, podejmowano tak gościnnie, że aż zdumienie brało, skąd u cudzoziemców tyle uczucia dla Polaków. To zasługa tych, którzy walczą teraz i którzy walczyli wtedy, gdy my trawiliśmy ciężkie dni w tundrze, w obozach . . ."

Korzystając z tego, że padło już to słowo: obóz, zapytałem o tamte czasy.

—"Ciężko było bardzo, ale wiara podtrzymywała nas na duchu, wiara, że stanie się coś takiego, co





nas z tej udręki wyzwoli. Nawet upadek Francji nie wpłynął zasadniczo na to naiwne, ale mocne uczucie. Dopiero w połowie sierpnia 1940 roku doszła nas wieść o kapitulacji, ale i wtedy nie załamaliśmy się. "Przeciw wierze—ale jednak wierzyliśmy."

Wiadomości docierały do nas bardzo późno. Byliśmy, bez żadnej przesady, odcięci od świata. Nawet o wybuchu wojny sowiecko-



Zdjęcia Wojskowej Sekcji Filmowo-Fotograficznej

niemieckiej wielu z nas nie rychło się dowiedziało. "Nadziratele" nawet nie bardzo byli zakłopotani nieoczekiwaną zmianą, a po podpisaniu umowy oświadczyli nam po prostu:

—"Skoro ON zakluczył dogowor z Sikorskim—to jesteście naszymi sprzymierzeńcami. Rozstajemy się w przyjaźni, a jeżeli tu nawet czasem zdarzyły się jakieś "nieprawidłowości"—to sobie powetujcie na "germańskiej swołoczy." Taki nam weksel wystawili.

Zaczęliśmy się więc ściągać do kupy . . ."

Gdzieś w kącie sali zabrzmiała piosenka; urodzony w którymś z obozów, a po tym śpiewany w całym wojsku polskim na terenie Z.S.R.R. "Marsz Sikorskiego":

"Będziemy bić się o Pomorze
O Gdańsk, co polski jest i był,
O polską Gdynię, polskie Morze
Będziemy walczyć z całych sił.

— — — — — — —

Sikorski-generał, nasz drogi,
dzielny Wódz
A z nim żołnierze my niezłomni
Z odwiecznych polskich ziem—nie
damy wrogom nic
Lecz jeszcze Grunwald im
przypomnim."

Tymczasem rozpoczęło się wydawanie kolacji: z szeregów, ustawionych pod ścianami szefowie prowadzili eskadry i plutony na polski kapuśniak i gulasz. Puściłem się więc na wycieczkę po sali znajdując co chwilę innych rozmówców. Ogromną przewagę wśród przybyłych stanowią ludzie młodzi, niekiedy bardzo młodzi, szesnasto—i siedemnastolatków jest sporo, a pewien Tadzio /bardzo prosił, żeby przypadkiem nie nazywać go: mały!/ przyciśnięty do muru przyznał się, że ma tych latek dopiero 15, zapewniając uroczyście, że wygląda na starszego i jest bardzo silny. W to ostatnie nikt z jego kolegów nie wątpi. Skoro wytrzymał edukację "klasową" w specjalnym obozie dla nieletnich . . .

Wszyscy spośród nowoprzybyłych przyszli już do siebie po ciężkich przeżyciach, wygląd mają zdrowy, są opaleni. Ale widzi się także twarze, których zapomnieć nie można. I przedwcześnie osiwiałe młode głowy. Z jednym takim "oszronionym" wdaję się w rozmowę, pytam o przygody.

—"Wytrzymało się jakoś—powiada.—Mnie dziś samemu czasem trudno w to uwierzyć. Byłem długo badany na śledztwie-stąd ta siwizna. Potem skazany na śmierć. Ale co tam, inni też dużo przeżyli! Jest tu jeden taki, co był w siedemnastu po kolei obozach, przy czym każdy następny był tylko odrobinę gorszy od poprzedniego, ale jednak w tym ostatnim bywało mu chwilami—jak powiada — "niewygodnie." I proszę, niech kolega spojrzy—tam oto wtraja gulasz z zapałem. Albo inny: uciekł gdzieś spod Uralu i nawet początkowo "zmylił pogonie." Cudem Bożym przewędrował ponad 700 kilometrów. Schwytano go jednak i odstawiono do obozu karnego, gdzie racje żywności były zmniejszone, a wyrobienie "przydziału" przekraczało ludzkie możliwości. Ale i "sztrafnyj pajok" nie dał mu rady. Uznano go za niebezpiecznego "zaczinszczyka" i jako takiego osadzono wreszcie w turmie, ale jednak wyszedł. Dziś z humorem opowiada, jak go tam przy pożegnaniu fetowano. Nie miałem nigdy pojęcia, że człowiek jest taki twardy i tyle może wytrzymać!"

Jeden z młodych lotników zbliża się i pokazuje swoją fotografię, zrobioną wkrótce po przybyciu do obozu polskiego. Odziany jest w tak straszliwe łachmany, że najśmielsza fantazja nic podobnego przewidzieć nie potrafi. Pracował daleko na północy, pod biegunem. Dosłownie na krańcu świata. Ale doszedł. Inny znowu w obozie nad Pieczorą przeharował długich szesnaście miesięcy. Dziś pogodnie żartuje ze swoich ówczesnych przygód.—"Niebo tu macie piękne w tej Szkocji—mówi—takie urozmaicone, że przyjemnie popatrzeć. Na północy ciągle ołowiane."

—"A ja to widzi kolega, ani jednego dnia nie przepracowałem w obozie"—zauważa pewien młodziec z Sambora rodem.

—"Udało się panu."

—"Bardzo mi się udało, bo cały rok przesiedziałem w turmie, wyrok odpowiedni także już był. . . . Po wybuchu wojny ewakuowano mnie z Kijowa w bezpieczne miejsce. Aż na Sybir. Do Tomska. Tam "zastała" mnie umowa. Otrzymałem papierek ze zwolnieniem z N.K.W.D. i 25 rubli na drogę. Zacząłem się więc oglądać za pracą "z wolnej stopy." Czego ja nie robiłem? Najlepszy jednak zarobek znalazłem przy ładowaniu statków na rzece Ob. Wreszcie zarobiłem na podróż do swoich. Przyjechałem, znalazłem dawnego dowódcę, zaczęło się inne życie. Nie można wprawdzie powiedzieć, aby wszystkie noce zimowe w namiotach były bardzo atrakcyjne, ale "przywykłszy." Byliśmy przecież w szeregach, miało się znowu karabin w garści, mundur paradny, czytało polskie pisma. Nawet imprezy własne organizowaliśmy. Nazywały się "kominki lwowskie." Była i dzielna piątka wileńskich revellersów. Śpiewali chłopcy, a nam zawsze było mało. Nie mogliśmy się dość nasłuchać swojskich piosenek.

A teraz. O, teraz to już będzie zupełnie dobrze. Tylko . . . jedna rzecz mąci nam radość połączenia się z Wami: myślimy o tych, co zostali w Rosji. Jeszcze ciągle wędrują, ciągle się zgłaszają, ciągle się odnajdują. Tak ich dużo, nie wszyscy silni, są kobiety i dzieci, dużo dzieci . . . Nam się udało. Wyciągnęliśmy szczęśliwy los. Niedługo lotnicy pójdą do jednostek, marynarze na okręty, a oni . . ."





Myśl o tych, co pozostali dręczy ich wszystkich. Jedni zwierzają się z tą troską, inni milczą, ale wszyscy oni są stale myślami przy nich. Zwłaszcza przy tych słabszych. Dlatego tych kilka słów o kolegach przybyłych z Rosji kończę apelem do wszystkich Żołnierzy w Wielkiej Brytanii. Zdejmijmy ten ciężar z bark kolegów, którzy i bez tego tyle przecierpieli! Pomóżmy dojść tym, którzy zostali w Rosji. Niech nasza serdeczna pomoc nie słabnie, niech się wzmaga, niech rośnie tak jak rosną nasze szeregi, do których dołączają się Polacy z całej kuli ziemskiej.

Pamiętajcie, co powiedział jeden z nich na zakończenie rozmowy:

—"Są tam słabi i strudzeni, a droga ciężka i daleka."

Stąd przykazanie dla nas na każdy dzień: POMÓŻMY IM!

LUDWIK BOJCZUK

Poradnik żołnierski

10 (7)/42.Z.

B.W.—Szkocja.

Zgodnie z obietnicą podajemy dalsze szczegóły, dotyczące należności przysługujących żołnierzom za czas urlopu. Oto one:

—Żołnierzom pobierającym normalnie wyżywienie w naturze i zakwaterowanie staraniem władz wojskowych lub publicznych, za czas urlopu /zwolnienie za przepustką, urlop wypoczynkowy, urlop leczniczy, urlop ze względów służbowych, urlop okolicznościowy/ przysługują nadal należności te w naturze, o ile żołnierz pozostaje w miejscu pełnienia służby względnie zakwaterowania.

W wypadkach gdy żołnierz ma zamiar spędzić urlop w innej miejscowości, w której znajduje się oddział polski prowadzący kuchnię /kasyno/, urlopowany żołnierz może korzystać z wyżywienia w naturze w czasie przebywania na urlopie w tej miejscowości, na podstawie karty zaopatrzenia, wystawionej przez pododdział wysyłający żołnierza na urlop.

Oficerowie korzystający z wyżywienia w kasynie oddziału polskiego w miejscowości, w której spędzają urlop, są zobowiązani ponosić dodatkowe koszta obciążające członków danego kasyna.

Żołnierz korzystający z zakwaterowania służbowego, a posiadający przy sobie rodzinę, zachowuje nadal prawo do tegoż zakwaterowania, przy czym w wypadkach zakwaterowania na zasadach billetingu, należy stosować przepisy obowiązujące przy billetingu.

—W wypadku korzystania przez żołnierza z urlopu leczniczego lub urlopu ze względów służbowych, jeśli żołnierz spędza ten urlop w zakładzie leczniczym lub wypoczynkowym prowadzonym staraniem władz wojskowych lub w zastępującym je zakładzie cywilnym, pobierającym żywność w naturze z zapasów wojskowych—przysługują mu należności w naturze.

—W razie korzystania przez żołnierza z urlopu leczniczego lub z urlopu ze względów służbowych poza zakładem leczniczym lub wypoczynkowym, jeśli nie może być zakwaterowany na zasadzie billetingu—D-ca Korpusu /Szef Int. Sztabu N.W. w odniesieniu do żołnierzy przydzielonych do Władz Centralnych/ wydaje zezwolenie na wypłatę dodatków w gotówce.

—Żołnierze otrzymujący urlop mają prawo do dwóch bezpłatnych przejazdów w ciągu roku kalendarzowego. Jako jeden przejazd należy rozumieć podróż do miejsca odbywania urlopu i z powrotem.

11 (8)/42.Z.

B.A.—Szkocja.

Jeśli Pan uważnie przeczyta " Poradnik żołnierski " w nr. 22 " Polski Walczącej " z dn. 30.V.1942 r. /K.M.—Szkocja—6/42.Z./ otrzyma Pan odpowiedź na pierwszą część swego listu.

Ponadto wyjaśniamy:

—Obecnie w Polskich Siłach Zbrojnych nie ma stopnia podchorążego, a jest tylko tytuł, przysługujący podoficerowi lub szeregowcowi po spełnieniu warunków, wyszczególnionych w omawianym " Poradniku żołnierskim."

—Stopień podchorążego istniał swego czasu w Polskich Siłach Zbrojnych. Zarządzeniem Ministra Spraw Wojskowych, ogłoszonym w Dzienniku Rozkazów Wojskowych Nr. 6/22 pozycja 93 stopień ten został zniesiony z tym, że posiadający ten stopień mieli być wymianowani na podporuczników lub chorążych rezerwy w zależności od spełnienia określonych warunków.

—Biorąc pod uwagę fakt, że od chwili wydania omawianego zarządzenia Ministra Spraw Wojskowych wszyscy byli " podchorążowie " mieli możność uzyskania przemianowania—ewentualne pretensje z tego tytułu mogłyby być rozpatrywane tylko w razie przedstawienia oryginalnych dokumentów, stwierdzających posiadanie tego stopnia. Dowód ze świadków w tym wypadku nie może być brany pod uwagę.

—Przemianowani są uprawnieni do poborów /żołdu/ podporucznika wzgl. chorążego rez. od dnia przyznania im danego stopnia.

12(9)/42.Z.

K.R.—Londyn.

Na list Pana z 20.V. b.r. zakończony pytaniem " Przemysł czy wojsko " odpowiadamy: " Przemysł i wojsko."

Uzasadnienie: każda wojna, a zwłaszcza obecna, wymaga zarówno ogromnej produkcji sprzętu wojennego, jak i mas żołnierskich odpowiednio przeszkolonych, użytkujących ten sprzęt w najdoskonalszy sposób. Czołgi zwalczać można czołgami i bronią przeciwczołgową, lotnictwo—lotnictwem i bronią przeciwlotniczą, okręty wojenne—okrętami wojennymi i lotnictwem. Żołnierz słabo uzbrojony nie przedstawia poważnych wartości—samym sprzętem wojennym nie można jednak prowadzić wojny; czołgami, samolotami, okrętami wojennymi kieruje żołnierz odpowiednio wyszkolony, znający doskonale swe zadanie.

Stąd wypływa wniosek, że między przemysłem wojennym a Siłami Zbrojnymi istnieć musi najidealniejsza współpraca. Inżynier czy technik niekoniecznie musi być poza wojskiem; jeśli jest fachowcem mogącym oddać pierwszorzędne usługi w wytwórniach sprzętu wojennego, jego miejscem pracy winna być fabryka. W innych wypadkach wykorzystać go winno wojsko, niekoniecznie jako dowódcę zespołu walczącego, lecz jako fachowca w warsztatach wojskowych.

Przedostatnia kampania w Libii udowodniła, że posiadanie przez Niemców lotnych warsztatów dla broni pancernej, prowadzonych przez wykwalifikowanych inżynierów i techników, umożliwiło im natychmiastową naprawę uszkodzonego sprzętu. Czołgi niezbyt ciężko uszkodzone z rana, w kilka godzin po dokonaniu naprawy, tego samego dnia były obsadzane przez załogi i kierowane na pole walki.

Mówiąc " fachowiec " rozumiemy pod tym określeniem człowieka nie tylko przygotowanego teoretycznie, lecz mającego za sobą również praktykę, nieraz wieloletnią. Stąd dalszy wniosek: w przemyśle winni pracować starsi, mający doświadczenie. Nie chcemy twierdzić, by młodzi bezpośrednio po studiach nie nadawali się do pracy w fabrykach, przecież muszą gdzieś tej praktyki nabyć. Nie zapominajmy jednak, że jest wojna, że wolność powrotu do Kraju trzeba wywalczyć, że głównym naszym atutem na wyspie brytyjskiej jest wojsko, lotnictwo i marynarka wojenna.

Władze wojskowe zapewniły nas, że do zagadnienia dalszego kształcenia się inżynierów i techników w przemyśle wojennym ustosunkowały się przychylnie, kierując się zasadą: " właściwy człowiek na właściwym miejscu."

Na pozostałe pytania postaramy się odpowiedzieć w następnym " Poradniku."

13/42.R.

Ppor. Zygmunt M.

Pisze Pan, że Szkotów nawet bardzo nam przyjaznych i życzliwych razi słowo: odwet */revenge/* na określenie naszej postawy wobec Niemców. Radzimy używać terminu "*retribution*" /odpłata/, który nie będzie raził uczuć Pańskich rozmówców. Warto się przy okazji powołać na oświadczenia prez. Roosevelta z 25 paźdź. 1941 i Churchilla z 26 paźdź. 1941 r., w których obaj mężowie stanu określili zasadę odpłaty, jako jeden z celów wojny. Gdyby Pan miał możność, radzilibyśmy dostarczyć znajomym Szkotom książkę G. Abrahamsa: "*Retribution*" /1941 wyd. W. H. Allen & Co. 6sh./ Nie jest to rzecz zbyt łatwa do czytania, ale fakt, że napisał ją Brytyjczyk, że to Brytyjczyk formułuje żądania kary dla całego narodu niemieckiego i zadośćuczynienia dla wszystkich skrzywdzonych przez niego narodów europejskich—może być Panu bardzo pomocny w obronie Pańskiego, naszego, punktu widzenia.

14/42.R.

Sierż. Kaz. Wach.

Nie ma Pan racji, twierdząc, że " Anglicy nic nie wiedzą o wschodnich ziemiach Polski i my nic nie umiemy na ich temat powiedzieć." Oczywiście stan uświadomienia opinii angielskiej w tym zakresie /jak w wielu innych, które dotyczą Polski/ jest bardzo niewielki, ale istnieją już prace, które przełamują ten szkodliwy stan rzeczy. Polecamy bardzo tanią broszurę /1 sh./ "*Eastern Poland,*" wydaną niedawno przez "*Polish Research Centre,*" oraz nieduże opracowanie Sir Johna Russell'a: "*Reconstruction and Development in Eastern Poland*" /pierwodruk w " The Geographical Journal," ostatni zeszyt 1941 r.; potem osobno/.

15/72.R.

kpr. podch. Wład. Mir.

Niestety nie możemy Panu podać literatury dotyczącej ustroju federacyjnego. Jest ona już dziś bardzo wielka. Radzimy zacząć od polskich opracowań tematu: Miecz. Szerer " Federacje a przyszłość Polski " /autor zajmuje stanowisko krytyczne wobec projektów federacji, rozważając dokładnie charakter tej formy i jej następstwa/, Adam Żółtowski: "*Germany, Russia and Central Europe*" wyd. " Free Europe Pamphlets " /autor oświadcza się za blokiem federacyjnym państw między Rosją a Niemcami/, Czesław Poznański: " Federacja, ale jaka? " wyd. Kolin /autor jest zwolennikiem federacji Polski z W. Brytanią/. W tej ostatniej broszurze znajdzie Pan częściowe zestawienie literatury przedmiotu.

16/42.R.

St. Strz. Adam G.

Sądzimy, że Kolegów przebywających w Brygadzie Karpackiej najpraktyczniej poszukiwać za pośrednictwem pisma " Ku Wolnej Polsce," które ukazuje się na Bliskim Wschodzie. Chętnie służymy pośrednictwem w tej sprawie. Nie należy jednak oczekiwać wyniku przed upływem kilku miesięcy.

17/42.R.

Józef Ad.

List przekazaliśmy dr. Młotkowi drogą lotniczą łącznie z własną przesyłką. Gdyby Pan uznał za możliwe proszę zamiast udziału w kosztach porta złożyć dowolną sumę na pomoc dla Polaków w Rosji.

18/42.R.

mjr. Z.J.

Przesłana przez pana Majora suma została wyszczególniona w numerze 22 " Pol. Wal." na stronie 6-ej. Wszystkie ofiary na fundusz Pomocy Polakom w Rosji, które nadchodzą po zamknięciu numeru, sa kwitowane tydzień później. Prosimy ofiarodawców o liczenie się z tą nieuniknioną zwłoką, która nie oznacza, że pieniądze nie doszły do rąk właściwych.

Skrzynka pocztowa

RADIO DLA INTERNOWANYCH W SZWAJCARII

Szanowny Panie Redaktorze,

Niebawem miną dwa lata, odkąd żołnierze II Dywizji znaleźli się jako internowani na terenie Szwajcarii. Nasz kontakt z nimi, z natury rzeczy, jest raczej dość wąski i ograniczony. Odległość a jeszcze bardziej sytuacja Szwajcarii jako kraju neutralnego sprawiają, że ani pisma polskie, ani książki polskie nie mogą tam docierać w takiej ilości, by zaspokoić żywy głód drukowanego słowa polskiego, by móc w bodaj jakiejś odrobinie zastąpić bezpośredni związek z tą częścią polskiej emigracji, która jest wolna. Z rzadkich listów, jakie tu do nas docierają, widać, że są oni tego kontaktu spragnieni, że czują się jakby wyrzuceni poza nawias walczącego, działającego środowiska polskiego, że odczuwają, iż poprzez przeciągające się internowanie zawiśli jakby trochę w próżni.

Jest tymczasem narzędzie, stojące w tej chwili w pełni do naszej dyspozycji, które może z powodzeniem częściowo bodaj lukę tę wypełnić. Stała, cotygodniowa audycja Polskiego Radia z Londynu poświęcona wyłącznie dla internowanych żołnierzy II Dywizji dałaby im dotykalny, konkretny dowód, że ani na chwilę o nich nie zapominamy, że są objęci i włączeni w krąg żywego, walczącego środowiska polskiego. Taka audycja mogłaby odegrać pewną rolę w podtrzymaniu ich nastroju, mogłaby dostarczyć im pewnej sumy wiadomości ujętych pod kątem widzenia aktualnych ich potrzeb.

Jednym z ważnych celów takiej audycji byłoby szerzenie znajomości, wiedzy o Szwajcarii. Wiemy doskonale, z jaką życzliwością i serdecznością przyjęli Szwajcarzy w r. 1940 naszych żołnierzy. Ale równocześnie nie należy zapominać, że Szwajcaria jest dziś w bardzo trudnym położeniu gospodarczym, że dają się odczuwać braki żywnościowe. To m.i. rozstrzygnęło o tym, że internowani nasi zostali użyci do robót rolnych, drogowych i t.d. Przytem nieuniknione są jakieś trudności czy nieporozumienia lokalne. A propaganda hitlerowska nie śpi: w pewnych kantonach daje się odczuwać—na szczęście nieskuteczne—wygrywanie ludności miejscowej przeciwko naszym żołnierzom.

Większość naszych żołnierzy w swej masie przed wojną napewno nie znała Szwajcarii, gdyż znajomość tego kraju była niestety u nas, zwłaszcza w pokoleniu młodszym, bardzo nieznaczna. Można tylko nad tym głęboko ubolewać. Jest to bowiem chyba w Europie kraj o najgłębiej odczutej w obyczajowości i prawie w pełni przeprowadzonej w życiu społecznym strukturze demokratycznej. Jest nią przepojone każde tchnienie życia tego prostego, może nazbyt filisterskiego, czy nawet drobnomieszczańskiego, ale jakże uczciwego, i szlachetnego społeczeństwa. Internowani mogą bardzo wiele nauczyć się i skorzystać z pobytu wśród narodu gorąco przywiązanego do swej wolności i niepodległości narodowej, do swych tradycyj rozbudowanego samorządu kantonalnego, do swego wysokiego poziomu kultury materialnej, do swej tolerancji religijnej, do swych uniwersytetów, które przez całą drugą połowę XIX wieku i wiek XX były ostoją, zwłaszcza dla pozbawionej możliwości swobodnego kształcenia się młodzieży krajów słowiańskich. Od budownictwa dróg, poprzez samorząd wsi i miasteczek, poprzez spółdzielczość, organizacje szkoły, życia religijnego, opieki społecznej aż do form codziennego bytowania wszędzie tam Polak znajdzie wiele rzeczy godnych zastanowienia, głębszego poznania, rzeczy, których nam brak.

Ale z drugiej strony typ życia cywilizacyjnego Polski i Szwajcarii, typ odczuwania i reakcji umysłowej na zjawiska są tak różne, ukształtowały się w tak odmiennych warunkach, że trzeba dopomóc oczom polskim ujrzeć Szwajcarię prawdziwą, ten kraj godny najgłębszego szacunku każdego człowieka wolnego, choć by nieraz nawet pozory tego życia były bardzo mało efektowne, mało błyskotliwe.

Tu w Londynie jest sporo ludzi z pośród starszego pokolenia, którzy swą młodość, a nieraz i lata wieku dojrzałego, spędzili w Szwajcarii, i którzy zachowali sentyment dla ziemi helweckiej. A może nawet poprzez burze tej wojny, poprzez zetknięcie się oko w oko z rzeczywistością państw totalnych tym głębiej dojrzeli istotne wartości tej chłopskiej demokracji. Oni napewno mogą dziś pokoleniu młodszemu, tworzącemu kadry II Dywizji, powiedzieć wiele rzeczy interesujących o ziemi, która gościnnie przyjmowała powstańców r. 1863, która dawała schronienie przed rządami zaborczymi polskiej emigracji politycznej na przełomie XIX i XX wieku, zarówno narodowej jak socjalistycznej, która otworzyła bramy swych wszechnic dla całych pokoleń naszej młodzieży. Trzeba pogłębić nasz stosunek do ziemi, która stworzyła możność pracy i działania przez długie lata dla Jeża-Miłkowskiego, Narutowicza, Paderewskiego.

By nie być gołosłownym: przypuszczam, że z pośród ludzi znających dobrze Szwajcarię np. prof. Stanisław Grabski czy prof. Adam Pragier nie odmówiliby pomocy Polskiemu Radiu w tej mierze.

W przekonaniu, że moje uwagi, potrącające o żywą, aktualną, społeczno-narodową potrzebę nie będą głosem wołającego na puszczy, pozwalam sobie prosić Pana Redaktora o umieszczenie tych kilku słów w " Polsce Walczącej."

Londyn, 15 maja 1942.

Adam Ordęga.

W SPRAWIE " HARKABUZA "

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Pragnę zapewnić Pana o uczuciu głębokiego zobowiązania, z jakim czytałem Pański wstęp do artykułu " Rzecz o budowie wsi," wstęp, w którym przedstawił Pan Redaktor rodowód i historię powstania " Harkabuza." Do dziejów tych za łaskawym Pana pozwoleniem, pragnę dodać kilka słów o pracy inicjatora i organizatora wystaw sztuki żołnierzy polskich w W. Brytanii, kpt. Oktawiana J.

Wszyscy architekci, którzy brali udział w tych wystawach, wiedzą dobrze, że z jego to inicjatywy zostali na nie wprowadzeni jako trzecia, obok malarzy i rzeźbiarzy grupa plastyków. Całkowite poparcie, jakie inicjatywa kapitana J. znalazła w Dowództwie I Korpusu W.P. w Szkocji dała możność choć krótkiej pracy w swym zawodzie 26 architektom-żołnierzom. Odnaleźli oni tak im potrzebną a tak dawno utraconą atmosferę roboty twórczej i w skromnych pracowniach na Shandwick-Place, i podczas gorączkowych, radosnych chwil poprzedzających otwarcie kolejnych wystaw, i na zebraniach w gościnnym domu pp. J.

Zechce Pan przyjąć, Wielce Szanowny Panie Redaktorze wyrazy mego prawdziwego szacunku i poważania.

Zbigniew Dmochowski

* * *

A propos budownictwa. Myśl poruszoną w " Harkabuzie " wartałoby rozszerzyć i na zwykłe, a nie tylko artystyczne budownictwo. Po wojnie, która skończy się prędzej niż przypuszczamy, trzeba będzie wiele w Polsce dźwigać z ruin. Otóż problemem budownictwa wiejskiego można by bardzo żołnierzy zainteresować. Np. niechby ktoś podsunął myśl wyplanowania gospodarstwa 3-5-6-8-morgowego wraz z planami domów mieszkalnych i gospodarczych. To tylko poddaję pod łaskawą rozwagę.

ks. Konstanty Pogłódek
kapelan W.P.

W SPRAWIE ARTYKUŁU: " PRZETRWAMY I ZWYCIĘŻYMY."

Redaktor " Polski Walczącej,"

W związku z odgłosami, które wywołał mój artykuł p.t. " Przetrwamy i zwyciężymy " umieszczony w nr. 20 " Polski Walczącej " z b.r., proszę Pana Redaktora o umieszczenie poniższego wyjaśnienia:

Treść artykułu p.t. " Przetrwamy i zwyciężymy " była szeregiem tylko moich osobistych wrażeń, a cyfry i fakty przytoczone otrzymałem od różnych osób w czasie przeprowadzania rozmów natury ogólnej.

Łączę wyrazy szczerego szacunku

Kamil Bogumił Czarnecki

Redakcja " Polski Walczącej " prosi uprzejmie przybyłych z Rosji Polaków o ewentualne wiadomości o kpt. audytorze rez. Kawczaku Stanisławie, adwokacie z Warszawy, który znajdował się z końcem 1939 roku w obozie oficerskim w Kobielsku.

SPIS RZECZY

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for the " Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.